



Tygodnik \*Zielona Góra, 1 lutego 1990 \* rok I nr ind. 359491

# GAZETA NOWA

NR 4/90

650 zł

## © MÓWIĄ PREZYDENCI:

- \* Zielonej Góry: nie mam kompleksów...
- \* Nowej Soli: mam już dość...

## © W KROŚNIE: CYWILOM WARA !



# PRAWA MARSZ

To było, zda się, wczoraj.

Po wsiach, w miastach i miasteczkach powstawały spontanicznie komitety obywatelskie, stawiające sobie za cel promowanie w wyborach kandydatów spod znaku „Solidarności”.

I sprawdziło się, że w sytuacjach przelomowych — Polak potrafi. Wygraliśmy przez KO — dostownie i w przenośni. W efekcie mamy taki, a nie inny skład parlamentu oraz pierwszy po wojnie niekomunistyczny rząd premiera Mazowieckiego.

Tylko, że potem jakby ktoś wypuścił z obywatelskiego balonu powietrze. Gdy przyszedł czas na codzienną, żmudną robotę siedziby komitetów zaczęły świecić pustkami. W większości wypadków nie się w nich właściwie nie dzieje.

Jeżeli już podejmowane są jakieś inicjatywy, to mają one raczej charakter kombatancko-jubileuszowy lub rozliczeniowo-rewindykacyjny. Najłatwiej o negację przeszłości. Tymczasem w obecnej sytuacji aż prosi się o kon-

struktywizm, zwłaszcza w kontekście zbliżających się wyborów do samorządów lokalnych.

Owe wybory będą miały odmienny od czerwonych charakter. Startującym w nich kandydatom nie wystarczy już zdjęcie z szefem regionu „Solidarności” czy postem OKP. Trzeba będzie przedstawić wyborcom konkretny program, mocno osadzony w miejscowych realiach i przekonać ich do tego programu. Trzeba będzie udowodnić, że potrafi się coś zrobić — nie tylko, że jest się za i ma słuszne poglądy. Tym bardziej, że osób ze słusznymi poglądami namnożyło się ostatnio co niemiara. Każdy rozsądny woli podążyć za panującą modą.

Kandydaci na kandydatów na radnych powinni zatem już dzisiaj „przymierzyć się” do przyszłej pracy. Przyglądać pilnie, jak funkcjonuje mechanizm władzy na szczeblu miasta czy gminy, zinventaryzować niejako jego mankamenty. Powinni się również sprawdzić w praktycznym działaniu na swym osiedlu

czy w swojej wsi. To wszystko będzie procentować w nie tak znowu odległej przyszłości.

Należy sądzić, że część kandydatów wywołać się będzie z ruchu obywatelskiego. Byłoby błędem ograniczanie się do wąskiego w końcu grona „sprawdzonych”. Warto więc, by komitety zaczęły już teraz szukać, na kogo podczas wyborów warto będzie postawić. Bo w żadnym razie nie może to być stawianie „w ciemno”. Nie te czasy.

Ja wiem, że w sumie nie jest to łatwe. Przez długie lata wpajano w nas przekonanie, że ONI mają monopol na wszystko. Nam działać nie kazano. Ba, czasem nawet ostro tępiło no społeczne zapędy zapaleńców.

Jednak dzisiaj ONI — to my. Po prostu — obywatele. Możemy, musimy znowu wygrać przez KO.

Pamiętajmy, że jakie będą w przyszłości „lokalne rzeczypospolite”, od nas tylko zależy.

EDWARD J. MINCER

## ROBOTY BUDOWLANE

Ludzie — nie tylko na budowie — lubią czuć twardy grunt pod nogami. Chodzenie po ziemi — jako takie — nie „zabezpiecza” (brr!) tej potrzeby. Częściej bowiem lądujemy na różnych dywanach. Oto pewien mój znajomy nabył pod koniec lat siedemdziesiątych tzw. chałupę, zresztą poniemiecką. Już z tego powodu ryczy ze śmiechu, przyglądając się temu, co my tu z Majstrem na tej naszej Budowie wyprawiamy. Znajomy wszedł w posiadanie domu za psie pieniądze. Ale był jeden szkop... szkopu! Nie czuł pewnego gruntu pod stopami. Niemcy wtedy siedzieli jak mysz pod Jeżowem i nie to rozmiękczało sprawę. Po prostu, strop był w tym domu trefny i jak się chodziło po „gościńnym”, wszystko drżało, jakby za chwilę miało runąć. Znajomy, z powodu zdecydowanej i jedynie słusznej postawy, potwierdzonej odpowiednią legitymacją, nie dbał o podziemie. W tym przypadku o piwnice. Ale mógł tam skończyć, lekcewa-

żąc solidność stropu. Zainwestował więc i wzmocnił go potężnymi dwuteownikami. Teraz ma twardo pod nogami, a w podziemiu — pewnie nad głową. Ergo: strop, co to dla jednych piekłem, a dla drugich niebem — gwarancją jedyną jest równowaga. Najczęściej psychicznej. Jak już na Budowie jest strop, to można całocieką sprzedać jako „stan surowy”.

Tymczasem ludzie mogą tylko marzyć o twardym gruncie pod nogami. Najlepiej marzyć się w półśnie. Niestety, za każdym razem, kiedy wpadam w ten stan, budzi mnie burczenie we własnym brzuchu. Od czego to burczenie? Nie wiem. Budzi mnie też łażenie sąsiada nade mną, który pracuje na trzech etatach i noc traktuje „rotacyjnie”. Widać źle uszczelniono strop i ani sąsiad nie czuł twardego gruntu, ani ja, choćby we śnie, nie mogę ujrzyć nieba gwiaździstego.

## Układanie stropu

W ogóle — czarno widzę. Nie dlatego, że jestem rasistą. Nienawidzę po prostu mieszania kolorów. Czerwone np. ślicznie zestawia się tylko z rozgrzanym do białości. Skarżą się ludzie, że po Budowie chodzi kolorowy paw. Ma w ogniu wszystkie kolory — pełny pluralizm — ale twarzy nie widać. Nikt nie wie o co chodzi, a psy pokojowe wyją do księżycy, skąd Pan Twardowski pozdrawia „Filipinki”. Wszyscy chcą NORMALNOŚCI. Normalnie pracować, normalnie zarabiać, normalnie żyć i umierać. Ja umierać w ogóle nie chcę, dla tego popieram roboty budowlane — Państwu życząc.

A więc: jeśli strop nawala i komuś coś, albo ktoś, lazi po głowie, najlepiej umyć albo zmyć głowę.

Czas na ustawianie ścian.

PAN CZESIŃ

## MIASTO NA BOCZNYM TORZE

Wyczekiwano. Po siedemnastu minutach nie padła jeszcze żadna informacja. Może to siła przyzwyczajenia? Wojewoda wiódł myśl refleksyjnie. Snuł wątek terytorialny. Wielkie zmiany, już wkrótce. Odpowiedzialność. Dwa wątki: przetrwać i przygotować się do odejścia. 22 minuta. Nie biadolić, lecz mówić — zachęcał Wojewoda. Pierwszy rzucił się w wir dyskusji dyrektor Chmielewski (WiMBP). Usługi poligraficzne, kino, dział antykwaryczny, przewozy, usługi inroligatorskie. W sumie 3 miliony oszczędności w każdym miesiącu. To dużo! Na koniec wytoczył projekt koronny. Połączyć biblioteki: Pedagogiczną i Wojewódzką. W co? Oczywiście w Bibliotekę Publiczną. Projekt gotowy był już 10 lat temu. Choć — jak podkreślił dyrektor — nie jest to łączenie w jego interesie, bo przecież administrowanie całością będzie to dla mnie udręka powiedział. Wojewoda rozluźnił sytuację — kiedy byłem kuratorem sam ten budynek wznosiłem. Była to inwestycja Oświaty.

Minuta 35.

Filharmonia. Jest na szczęście tylko jedna — mówi dyr. Grabowski. Ale finanse starczą nam tylko na aktualne pensje — bez granic (średnio 330 tys.)!

42 minuta.

Dyr. Teatru Lubuskiego Kozłowski jest nieco refleksyjny, może nawet smutny. Ma żal. W piątek ustalili budżet (80 mln. na miesiąc — mówi), a dziś dowiaduje się, że Bank o tym podziale wiedział wcześniej. Może zapłacić tylko za budynek — 50 mln. A gaże? Dyrektor nie jest gorszy. Oszczędza! Będzie wynajmował... Jest źle. Nie jeżdżę w teren — mówi. A poza tym krytycy są niekompetentni. Bo jak krytyk może nie rozumieć intencji inscenizatora i się z nią mijać? A przecież powinien rozumieć. W ogóle to dziennikarze szkoda.

Budynek Teatru Lalek na Wyspiańskiego się wynajął. A właściwie to co było tam dla „lalek”. Z tego są 2 mln. zł. dla Teatru. Za-

trudnienie spadło. A jednak 70 proc. naszych przedstawień odbywa się w terenie. I tak być musi. Z terenu nie można zrezygnować. Lalki w każdym razie nie poddają się. Ich szef ma światłość repertuarową, w przeciwieństwie do dyrektora Dużej Sceny. Wie, gdzie są granice nie przekraczania rozsądku.

Ja ogólnie — szepnął głośno dyr. Muszyński (Muzeum Ziemi Lubuskiej) Destrukcyjną jaką czyni nowa ekipa w kulturze ma doprowadzić do właściwego kształtu instytucje kultury i ich obieg. Muszyński nie ma wyrzutów. Przyszedł do muzealnictwa w roku 1976. Władza go pieściła. Był pieszczochem władzy. Ale nie przekroczył kompetencji. Troszczy się też o dziś! O Muzeum nic!

Wojewoda zakończył rzecz poważnie i przyszan trafnie. Wojewoda wie, że mija jakaś epoka. Stara się jednak rozumieć nowe mechanizmy. Zachować te instytucje kultury jakie są. A jemu przecież byłoby zrezygnować najłatwiej.

ANDRZEJ BUCK

# SZKOŁA BEZ STRESU

LUCYNA MAŁACHOWSKA - GRABOWSKA

**C**hcę stworzyć szkołę bez stresu, szkołę, w której będzie atmosfera domowa, szkołę, do której dzieci będą chcieli przychodzić — powiedział mgr inż. Wiesław Wołyniec, świeżo mianowany dyrektor Społecznej Szkoły Podstawowej powstającej na Osiedlu Przyjaźni w Zielonej Górze.

Wiesław Wołyniec został dyrektorem w wyniku konkursu ogłoszonego wcześniej przez Zespół ds. Szkoły Społecznej.

Ta nietypowa szkoła jest w stadium organizacji. Obiekt jest w budowie, status w opracowaniu.

W mieście słychać różne domniemania, spekulacje wynikające zapewne z niedoinformowania.

Oto w skrócie historia tego przedsięwzięcia.

Propozycje innego niż dotychczasowy modelu oświaty podstawowej zrodziły się mniej więcej półtora roku temu w kręgach niezależnych stowarzyszeń: Klubie Inteligencji Katolickiej, Społecznym Towarzystwie Ekologicznym „Pro Vita”, Stowarzyszeniu „Akcja na rzecz Przywrócenia Dzieciom Dzieciństwa”, Stowarzyszeniu PAX i Stowarzyszeniu „Zdrowy Człowiek”.

Z dyskusji wyłonił się zamiar utworzenia szkoły przede wszystkim wychowującej, szkoły pozwalającej dziecku na harmonijny rozwój. Była rozważana propozycja szkoły prywatnej, ale w Zielonej Górze nie było ku temu warunków.

W związku z tym, że na Osiedlu Przyjaźni buduje się nowy obiekt dla szkoły podstawowej, powstała niepowtarzalna szansa zrealizowania społecznej propozycji programowo-organizacyjnej w normalnej szkole państwowej.

W listopadzie ub. roku Komitet Obywatelski „Solidarność” w Zielonej Górze stworzył platformę dla tej wspólnej idei. Utworzono Zespół ds. Szkoły Społecznej (17 osób), w skład którego weszli przedstawiciele wymienionych wyżej stowarzyszeń.

Propozycja stworzenia w państwowej szkole placówki nieco innej niż rutynowa spotkała się z przychylnością władz oświatowych. Aktywnie włączył się w realizację idei inspektor oświaty Franciszek Bielecki. Uzyskano zgodę przydymentu miasta na to, aby o obsadzie kadrowej decydował wyłącznie Zespół. W grudniu ogłoszono konkurs na dyrektora szkoły. Kandydaci musieli przygotować na piśmie koncepcję organizacyjną, koncepcję realizacji programów kształcenia przy uwzględnieniu założeń dotyczących charakteru szkoły.

Założenia były następujące:

1. Uwzględnienie w systemie dydaktyczno-wychowawczym wiedzy o ochronie i kształtowaniu środowiska oraz szeroko rozumianej ekologii.
2. Uznanie i poszanowanie światopoglądu i wyznania rodziców oraz uwzględnienie tego w realizacji programu wychowawczego.
3. Stworzenie warunków dla autorskich koncepcji kształcenia.
4. Uwzględnienie wymogów stawianych pedagogicznej działalnością innowacyjnej oraz eksperymentom pedagogicznym obejmującym cały system dydaktyczno-wychowawczy.

Koncepcja szkoły opracowana na konkurs przez Wiesława Wołynica zyskała uznanie Zespołu i od kilku dni jest on dyrektorem szkoły.

Mgr inż. Wiesław Wołyniec jest nauczycielem przekazu elektronicznego w Zespole Szkół Elektronicznych w Zielonej Górze. Z młodzieżą pracuje od 17 lat. Kontakty z uczniami podczas obozów i biwaków spowodowały, że praca wychowawcza stała się jego pasją. Aby lepiej przygotować się do społecznej pracy kuratora (zajmuje się tym od kilku lat) ukończył drugi fakultet — wychowanie techniczne w WSP. Ukończył także na studiach poddyscyplinowych ergonomię i technologię pracy.

Jest człowiekiem blisko związanym z przyrodą, działaczem ruchu ekologicznego, prezesem oddziału wojewódzkiego Stowarzyszenia „Zdrowy Człowiek”.

Społeczna Szkoła Podstawowa będzie szkołą państwową (w resorcie edukacji narodowej) o ekologicznym sprofilowaniu procesu dydaktyczno-wychowawczego. Szkoła będzie kształcić dzieci mieszkańców Osiedla Przyjaźni i osiedli przyległych, odciążając istniejące na tym terenie 4 szkoły podstawowe.

Cechy decydujące o odmiennym charakterze szkoły określi jej statut zatwierdzony w ramach eksperymentu dydaktycznego przez Ministerstwo Edukacji Narodowej. Projekt statutu przewiduje m.in. nadzorowanie pracy tej placówki przez Społeczną Radę Szkoły. Tą drogą rodzice będą mieli wpływ na proces dydaktyczno-wychowawczy. Planuje się utworzenie fundacji na rzecz szkoły. Fundacja będzie gromadzić fundusze z tytułu darowizn osób prawnych, rodziców, podmiotów zagranicznych oraz działalności gospodarczej.

W procesie wychowawczo-dydaktycznym będzie funkcjonować jednolity program ekologiczny dotyczący poszczególnych przedmiotów, jak i przedmiotu interdyscyplinarnego pod nazwą „kultura ekologiczna”.

Bazą edukacji będzie minimum programowe. Przewiduje się większą liczbę zajęć muzyczno-ruchowych oraz zajęć lekcyjnych w środowisku przyrodniczym. Planuje się wprowadzić nauki języka angielskiego jako podstawowego języka obcego. Wychowanie dzieci nie będzie sprzeczne ze światopoglądem rodziców i tradycjami kultury chrześcijańskiej.

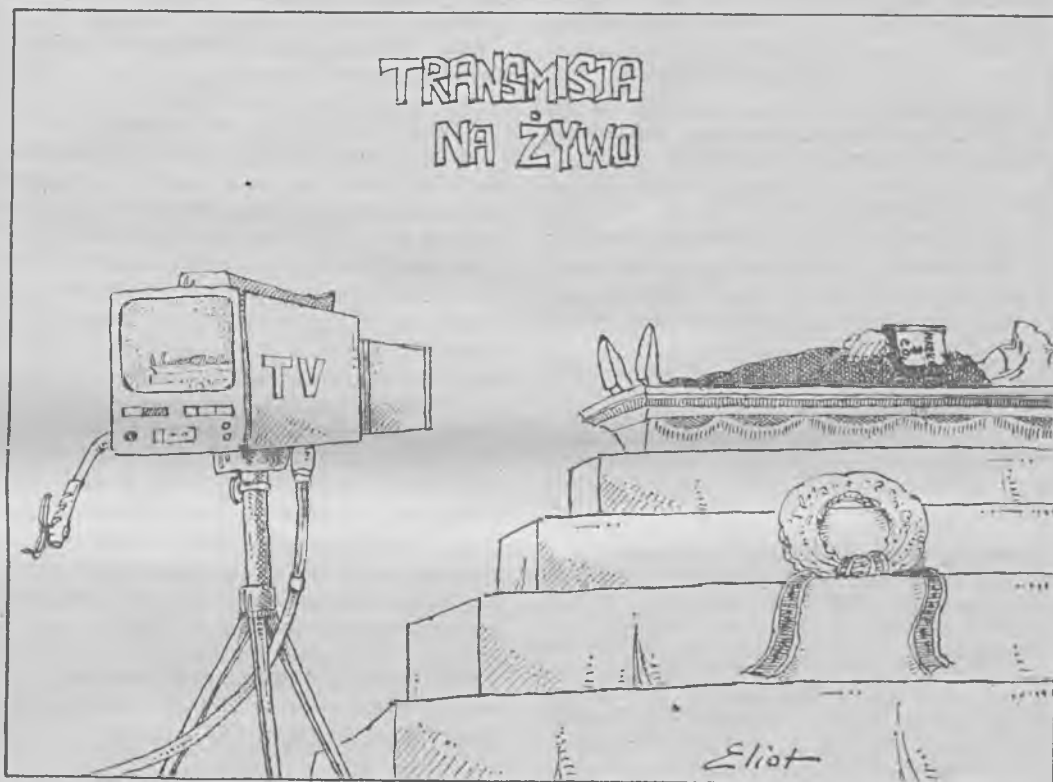
Obecnie Zespół podzielony na mniejsze kilkusobowe grupy zajmuje się problemami ważnymi dla przyszłej pracy szkoły, m.in. programem rozwiązań autorskich, nawiązaniem kontaktów z organizacjami społecznymi z zagranicy, znalezieniem sponsorów.

W trakcie roboczych oględzin na budowie postanowiono już teraz wprowadzić różne poprawki, po to, by wnętrze szkoły i otoczenie służyło jak najlepiej celom wychowawczym. Przewiduje się m.in. założenie ekranów eliminujących hałas.

„Gazeta Nowa” będzie na swoich łamach wspierać tę ciekawą inicjatywę. Zapraszamy do współpracy wszystkich, którzy chcą i mogą w jakiś sposób pomóc.

Jest nadzieja, że w Zielonej Górze powstanie zupełnie inna szkoła podstawowa, państwo wa a jednocześnie społeczna, bliska dzieciom, nasza.

Informujemy, że przewodniczącym Zespołu ds. Szkoły Społecznej jest poseł dr inż. Jarosław Barańczak, wiceprzewodniczącymi: dr inż. Mirosław Zmysłony, dr inż. Roman Sobczak i mgr Danuta Łakomska. W skład zespołu wchodzi m.in. inspektor oświaty mgr Franciszek Bielecki i proboszcz Parafii Sw. Ducha ksiądz Grzegorz Grzybek.



Wyróżnienie w Otwartym Konkursie na Rysunek Satyryczny pt. „Telewizja” zorganizowanym przez KMPiK w Zielonej Górze.

Rys. Jerzy Lipiec

# Potrzebny jest silny Region!

ROZMAWIAMY Z WIESŁAWEM WYSOCKIM  
— przewodniczącym KZ NSZZ „S” w Fabryce Dywanów „NOVITA”

**RED:** Kto za Tobą stoi?

**WW:** 230 członków związku, czyli około jednej czwartej załogi.

**RED:** Nie jest to liczba imponująca...

**WW:** Jak w innych zakładach. W 1980 był owczy pęd, teraz większość przygląda się z boku. Przede wszystkim — młodzi pracownicy. Ale naszej siły oddziaływania i autorytetu nie można mierzyć tylko liczebnością.

**RED:** A czym?

**WW:** Aktywnością w dbałości o pracownicze interesy. Przy czym rozumiany to szerzej. Rzecz nie w tym, aby dzisiaj każdy zarabiał jak najwięcej, łatwo można doprowadzić fabrykę do bankructwa. Trzeba myśleć perspektywnie — o zmianie struktury organizacyjnej i systemu wynagrodzeń, przygotować się do działania w całkowicie zmienionych warunkach ekonomicznych. I nie mogą to być tylko kosmetyczne zabiegi, posuwanie się wyzłobionymi przez lata koleinami. Weźmy sprawę formy własności i zarządzania zakładem.

**RED:** Akcjonariat pracowniczy, silny samorząd...

**WW:** Ani jedno, ani drugie. Samorządy, moim zdaniem, przeżyły się, a gdy wszyscy jesteśmy właścicielami, to tak naprawdę — nikt nim nie jest. Dlaczego nie skorzystać z rozwiązań, które zdają egzamin na Zachodzie? Jestem stanowczo za jednym, konkretnym właścicielem — osobą prywatną lub spółką. Tyle, że to sprawa przyszłości. Dziś w fabryce rządzić winien kompetentny dyrektor, wybrany i odpowiedzialny przed reprezentacją załogi. Nie wolno mu na co dzień przeskądzać, ale gdy nawali — bez pardonu zwalniać.

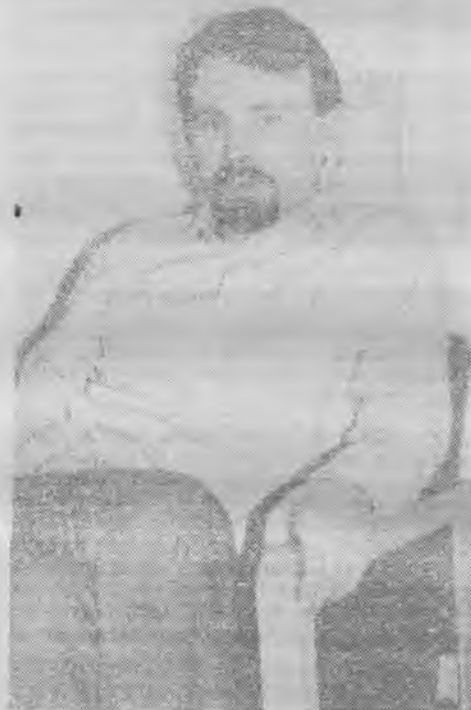
**RED:** Powiedzmy, że jutro wybucha w „Nowicie” strajk. Co robi Komisja Zakładowa, staje na jego czele?

**WW:** Stajemy na głowie, aby go wygasić. Teraz nie jest czas na strajkowanie, sami siebie bilibyśmy po kieszeni i jako pracownicy i jako obywatele. Jeżeli są konkretne żądania można je negocjować, nie przerywając pracy.

**RED:** Powstaje problem zwolnienia części załogi, co Wy na to?

**WW:** Zredukowanie administracji o 20-30 proc. przydałoby się już dziś. Ale umysłowego trudniej zwolnić — ma zwykle własne biurko i jakiś tam, ściśle określony zakres obowiązków. Tymczasem np. w ośmioosobowej brygadzie elektryków, bez jednego czy dwóch można się z biedą obejść. Jednak o ewentualnych redukcjach będziemy myśleć dopiero po opracowaniu nowej struktury organizacyjnej. Tutaj są dwie szkoły. Można zatrzymać wszystkich, przemieszczając ich tylko, nie podnosić płac i czekać na poprawę koniunktury. Można też część zwolnić, gwarantując pozostałym wyższe zarobki. Decyzja nie jest prosta...

**RED:** Wyrzycimy teraz poza bramy zakładu. Jak widzisz dzisiaj rolę „Solidarności”?



**WW:** Na pewno inaczej, niż w latach 1980-81. Od wielkiej polityki są partie, parlament, rząd. Od lokalnej — komitety obywatelskie, a w niedalekiej przyszłości, wybrane przez nas samorządy z prawdziwego zdarzenia. Niech każdy robi swoje — do czego został powołany, co mieści się w granicach jego kompetencji.

**RED:** Co więc winien robić nowo wybrany Zarząd Regionu?

**WW:** Zadań jest tyle, że głowa puchnie. I trzeba je mieć na uwadze, nie zaś wypinac piersi po medale za kombatanckie zasługi. Przede wszystkim należy właśnie na szczeblu Regionu stworzyć silne centrum koordynacyjne i informacyjno-doradcze, obstarwić się profesjonalistami. W dużych zakładach organizacje związkowe dadzą sobie jakiś radę. Pozostają jednak setki małych przedsiębiorstw i instytucji. A tam czasem wystarczy, żeby kierownik tupnął nogą — i związku nie ma. Poza tym, same szczytne idee i dobre chęci nie wystarczą, społecznymi siłami niewiele da się zrobić. Żeby działać skutecznie, żeby skutecznie bronić i związkowców i innych pracowników — trzeba być mocnym, znać możliwości, jakie stwarza prawo. Taką właśnie, szeroką pomoc powinien zapewnić wszystkim silny Region.

**RED:** Którego władze, przypomnijmy, wybrane zostaną podczas II tury Zjazdu zielonogórskiej „Solidarności” 3 lutego.

Dziękuję za rozmowę.

(EM)

## W sprawie obiektów skarbu państwa

UCHWAŁA MKM „S” I KOMITETU OBYWATELSKIEGO „S

Miejska Komisja Międzyzakładowa NSZZ „Solidarność” i Komitet Obywatelski „Solidarności” w Zielonej Górze na wspólnym posiedzeniu w dniu 27 stycznia 1990 roku podjęły następującą uchwałę:

1. Domagamy się w trybie pilnym powołania komisji mieszanej w celu przeprowadzenia inwentaryzacji budynku KW PZPR (do dnia 1 lutego 1990 r.).
2. Stwierdzamy, że KW PZPR korzysta z budynku i gruntu przy ul. Westerplatte bezprawnie i nie może dysponować majątkiem, który jest własnością skarbu państwa.
3. Przedsiębiorstwa, które podnajmują pomieszczenia w w/w budynku winny wnieść opłaty z tytułu czynszu do kasy Urzędu Miasta, a nie do kasy partyjnej.
4. Domagamy się przedstawienia wykazu budynków zajmowanych przez organizacje polityczne i społeczne, których nie są właścicielami i nie wnoszą opłat do Urzędu Miejskiego.

Tekst uchwały wreczono prezydentowi Zielonej Góry Edmundowi Blachowiakowi podczas spotkania działaczy Komitetu Obywatelskiego w dniu 27 stycznia br.

Do wiadomości otrzymali: KW PZPR, Wojewódzkie Biuro Senatorsko-Poselskie OKP, Przewodniczący Wojewódzkiego Komitetu Obywatelskiego „S” — poseł Jarosław Barańczak. Gazeta Nowa. Gazeta Lubuska. Rozgłośnia Polskiego Radia w Zielonej Górze.

W dniu 13 stycznia br. odbyły się inauguracyjne zebrania Komisji Samorządowej i Komisji Inicjatyw Gospodarczych Komitetu Obywatelskiego „Solidarność” woj. zielonogórskiego Pracowniczej Komisji Samorządowej będzie przewodniczyć p. Witold Kawecki, a Komisji Gospodarczej — p. Jan Szulgo. 27 stycznia br. odbyły się podobne spotkania członków Komisji Kultury i Oświaty oraz Komisji Inicjatyw Charytatywnych. Na liderów tych grup wybrano p. Tomasza Piersiaka i Bogumiła Jarosza.

W skład wymienionych komisji wchodzi przedstawiciele terenowych komitetów obywatelskich województwa zielonogórskiego. Komisje są otwarte: każdy, kto nie chce stać bezczynnie z boku, ma interesujące pomysły, identyfikuje się z ruchem obywatelskim „Solidarność” i programem rządu Tadeusza Mazowieckiego, a widziałby siebie w pracy którejś z tych komisji może się z nią skontaktować za pośrednictwem KO „S” woj. zielonogórskiego (budynek Urz. Woj. ul. KRN 6, pok. 134).

PAWEŁ SUDER

# ŁAPAC ZŁODZIEJA !

CZESŁAW MARKIEWICZ

**A**genci, w branży spożywczej, pojawili się nieco wcześniej zanim opanowała wszystkich „kapitałistyczna” histeria Początki były nad wyraz zachęcające. PSS „Społem” — zwana dalej MONOPOLISTĄ — uwłaszczyła chytrze feralną liczbę 13 sklepów, nie przynoszących tzw. zysku. Chętni dostali kredyty, swobodę działania i błogosławieństwo prezesa. Pomysł wypalił — deficytowe sklepy zaczęły przynosić zyski. MONOPOLISTA, nie inwestując ani jednej złotówki, wyciągał ile się tylko dało.

Już po pierwszych tygodniach działalności, agentów przezywano wdzięcznie „złodziejami”. Kto rzeczywiście „zasiedlał” nasze kieszenie, wiedzieli sami agenci, MONOPOLISTA i... plotkarze.

Przejdźmy więc do faktów: oto agent — półtora roku temu mógł to być każdy „człowiek z ulicy”, posiadający np. 400 tys. własnego kapitału. MONOPOLISTA udzielał mu np. 3 mln kredytu oczywiście oprocentowanego, z czego dziesiątą częścią obciążał zainteresowanego. Tenże wpłacał jeszcze kwotę np. 3 mln kredytu, oczywiście oprocentowane na wypadek, gdyby agent rzeczywiście okazał się złodziejem i upłynął np. zamrażarkę, albo ładę, będące własnością Spółdzielni. No i delikwent mógł zaczynać zarabiać swój pierwszy milion. Przedtem musiał czymś zapełnić spółdzielcze półki. Towar mógł kupować wszędzie. Jeżeli miał „dojścia” i własny transport, docierał bezpośrednio do producenta. Tam natykał się na pierwszą rafę. Pomińmy takie szczegóły, że większość piekarni, masarni i niewielkich zakładów branży spożywczej, to własność MONOPOLISTY, ale nawet ci producenci, którzy działają na własne konto, chętniej sprzedają od razu całą produkcję tzw. wielkim hurtownikom typu PHS, niż drobne ilości poszczególnym agentom. Tak więc, spod tych drzwi nasz agent odjeżdża z kwitkiem i chcąc nie chcąc ustawia się w baraniej kolejce do PHS. Tam zostaje uprzejmie obsłużony i oskubany przez doliczanie do ceny zbytu 30 proc. „skromnej” marży. Powstaje tzw. cena hurtowa. Ale tu nie czuje się jeszcze agent okradziony. Hurtownicy na całym świecie pobierają stosowny haracz. Polski problem polega na tym, że mamy tylko jedną, mafijną PHS, plus kilka drobniejszych, nie zmieniających krajobrazu.

Tak, czy owak, nasz agent zdobył towar i wiezie go swoim transportem do swojego — nie swojego sklepu. Tu dolicza własne — nie własne marże, wg tzw. marżowni, opracowanego przez speców ze „Społem”. Przeciętnie 20 proc. Oczywiście agent ma demokratyczne prawo obniżania marży; działanie w drugą stronę jest ściągane. Tak powstaje bandycka cena, zwana pieczętliwie: detaliczną.

Ale to wszystko jest dziecinną igraszką w konfrontacji z działalnością „kalkulacyjną” MONOPOLISTY. Oto każdy z 13 sklepów nekany jest co dwa, trzy miesiące (wiadomo inflacja!), świstkiem papieru, na którym wyszczególnione są datki utrzymujące nikomu niepotrzebne życie BOSA — „Społem”. Wśród wielu, koniecznych zobowiązań, typu czynsze, dzierżawy, ubezpieczenia, odsetki bankowe etc, etc — jedno wręcz szokuje: to zysk PSS. Dla przeciętnego, średniej wielkości sklepika, haracz ten wynosi ponad 3 mln miesięcznie. Liczony jest z „sufitu”, ot tak sobie i stosownie zwiększany, relatywnie do ruchu plac „pracowanych” urzędasów MONOPOLISTY. Tak więc jeden mały sklep utrzymuje sześciu mafioso, za 500 tys. miesięcznie. Praktycznie jednak, to nie agent jest fundatorem, ale każdy z nas kupujących

u niego chleb, cukier, margarynę. Agent swoje zyski buduje pracą w wolne soboty, niedziele. Agent sam sprząta, księguje, kalkuluje. Jego ekspedienci, zarabiający przeciętnie 500 tys., muszą być wyjątkowo dyspozycyjni. Sam agent wyciąga miesięcznie ponad milion, ale dobry agent traktuje ten „zysk” przynajmniej w części, jako kapitał obrotowy.

Styczeń tego roku przygwoździł agentów. MONOPOLISTA indeksując sobie wypłaty, dorzucił do marż 5 proc. W „kalkulacjach” uwzględnił dużo wyższe ceny zbytu i zacierając rączki, antycypował większe wpływy. Ale klienci wycięli MONOPOLISTY numer. I tak: w grudniu obroty niewielkiego sklepu wynosiły około 5 mln. dziennie, a już w styczniu tylko 2,5 mln. Paradoxs? Ludzie przestali jeść? MONOPOLISTA ma to w nosie. Po prostu podniósł haracz o 100 proc. Skąd agent ma wziąć pieniądze? Popyt spadł prze-

cież o 50 proc.! Agent sobie poradzi. Zapłaca klienci, my, obywatele Polski Zdzieciniały.

Kto więc okrada obywatela? Nasz przeciętny agent, który szczęśliwie spłacił już kredyt, odsetki itd., zarzuca działalność. Rozłożył go haracz MONOPOLISTY. Wszystko co ma, to resztki towaru na półkach. W średniej wielkości sklepie daje to sumę 14—15 mln. Tyle „nakradł” agent przez półtora roku mrówczej pracy i małych wygibasów. Na posteruku ostają się tylko „wielcy” agenci: właściciele kilku albo kilkunastu punktów, dysponujący kilkoma samochodami i „wejściami” w PHS. Słowem: nowi MONOPOLISTI, świetni, bo... bezkonkurencyjni.

Tymczasem „Społem” kocha spółdzielczość, ale jest to miłość kazirodcza. Zaś obywatel może łapać złodzieja — za słowo — wkładając mu w łapę co najmniej 25 proc. przy każdym, detalicznym ekscesie w ramach tzw. zakupu.

## Szanowni Radni, nie dorzynajcie rzemiosła

DO WSZYSTKICH RADNYCH RAD  
NARODOWYCH STOPNIA  
PODSTAWOWEGO

PODANIE

**W** imieniu całego środowiska rzemieślniczego, kolegów krawców, szewców, piekarzy, wędliniarzy, stolarzy itd., itd., zwracam się do Was z gorącym apelem. Ustalając wysokość podatków terenowych i stawek czynszu za dzierżawione przez nas lokale, rozważcie — jak prawdziwi gospodarze — wszystkie okoliczności sprawy. Istnieje bowiem obawa, iż — licząc na pokaźne, szybkie zasilenie miejscowych budżetów — w efekcie:

- przykręcicie kurek dochodów,
- pozbawicie mieszkańców podstawowych usług bytowych i wielu artykułów codziennego użytku,
- doprowadzicie do likwidacji stanowisk pracy, na których stworzenie państwo nie wyłożyło ani grosza, zwiększając jednocześnie liczbę bezrobotnych.

UZASADNIENIE

**D**ziury w narodowym budżecie latane są obecnie m. innymi poprzez zwiększenie obciążenia finansowego rzemiosła. Rosną wszystkie podatki (obrotowy, dochodowy, od wynagrodzeń, od nieruchomości — ten ostatni o blisko 3000 procent!), podniesiono odsetki od kredytów, cofnięto ulgi inwestycyjne. Zarazem podrożała energia elektryczna, opał, paliwo, inne surowce i materiały.

Ponoszone koszty określają ceny naszych wyrobów i usług, nie więc dziwnego, że i tego poszły w górę.

Ustalając drakońskie stawki czynszów i podatków terenowych, wywindujecie je jeszcze wyżej. Być może, poza granice

możliwe do przyjęcia przez potencjalnych klientów.

W tej sytuacji należy się liczyć z masowym wręcz zamykaniem zakładów. Zda niem pesymistów — ubędzie ich 40—60 proc. Na pierwszy ogień pójda drobne warsztaty usługowe i reprezentujące rzemiosła zanikające. A i rzemieślnik-producent zacznie kalkulować, czy nie lepiej złożyć posiadany kapitał na książeczkę PKO, niż ryzykancko inwestować w dalszą działalność. Tym bardziej, że w niektórych przypadkach sam proces technologiczny wymusza korzystanie z dużych powierzchni (wytwarzanie materiałów budowlanych, stolarstwo, piekarnictwo).

Część wyrejestrowanych zakładów — nie ukrywajmy — świadczyć będzie nadal usługi, tyle, że pokątnie, „na czarno”. Z „lewych” dochodów takiego pseudo-rzemieślnika lokalny budżet nie uszczknie ni grosza.

Inni ustawią się w kolejkach przed wydziałami zatrudnienia.

Padnie najtańszy, najbardziej oplacalny z punktu widzenia interesów państwa system szkolenia — właśnie w rzemiosle. Kogóż bowiem będzie stać na zatrudnianie nieproduktywnego ucznia?

Ja nie krączę. Po prostu patrzę realnie w przyszłość.

Dlatego przed podjęciem decyzji, zastanówcie się głęboko nad możliwymi ich konsekwencjami. Rozważcie stary problem — czy teraz zarznąć kurek, czy jednak pozwolić, aby znosiła Wam nadal „złotówko we” jajka.

RZEMIEŚLNIK

**PS.** Przytoczone wyżej argumenty na spotkaniu przewodniczącego WRN w Zielonej Górze W. Hoduna z Zarządem Izby Rzemieślniczej zanotował (EM)

# NIE MAM

## KOMPLEKSÓW

Z prezydentem Zielonej Góry  
EDMUNDEM BLACHOWIAKIEM  
rozmawia LUCYNA MAŁACHOWSKA  
-GRABOWSKA



— Do Urzędu Miasta przyszedł Pan prosto z Komitetu Wojewódzkiego PZPR. Kiedyś takie decyzje kadrowe określało się tak: partia postawiła na odpowiedzialne stanowisko odpowiedniego towarzysza. Dzisiaj część opinii społecznej ten rodzaj traktuje jako wadę. Jest Pan człowiekiem nomenklatury. Jak się Pan czuje w nowej sytuacji, mając nad sobą całkiem inny rząd?

— Nie mam kompleksów z tego powodu. Rok temu po raz pierwszy w historii miasta stanąłem do tajnych wyborów. Na początku było 7 kandydatów. Gdy okazało się, że będą przesłuchania w komisjach rady, w klubach radnych, na placu boju zostało nas tylko dwóch.

Zastanawiałem się, czy stanąć do tych wyborów. Znałem od podszewki pracę w administracji, przez 6 lat byłem wiceprezydentem. Wiedziałem, że będzie ciężko. W lutym 1989 roku można było przewidzieć, że będzie coraz trudniej.

Poczucie obowiązku, chęć zrobienia czegoś dla miasta, wreszcie ludzka potrzeba sprawdzenia się w nowej roli zadecydowały, że poddałem się głosowaniu.

Może powiem nieskromnie: mam kwalifikacje, mam wykształcenie ekonomiczne i administracyjne. Uważam się za człowieka kompetentnego. Zawsze kieruje się dobrem miasta, jestem nie tylko prezydentem, ale obywatelem Zielonej Góry. Tu żyję, to jest moje miasto.

— Trudno uwierzyć, że nie czuje się Pan uwikłany, zobowiązany wobec faktu, że przyszedł Pan z aparatu partyjnego.

— Moją władzą jest rada narodowa. Stwierdzam kategorycznie, że od momentu przyjęcia funkcji prezydenta nie miałem żadnych nacisków politycznych. Owszem przy konkretnych rozstrzygnięciach musiałem brać pod uwagę opinię przewodniej siły, klubu radnych partyjnych. Ale to nie miało nic wspólnego ze sterowaniem. W ostatnim roku było wiele zmian kadrowych. Dobrałem ludzi sam. W decyzjach kieruję się nie dyspozycjami z zewnątrz, lecz porządkiem prawnym i interesem obywateli.

— Zbliżają się wybory do samorządu tery-

torialnego i trzeba będzie zejść ze sceny. Czy taka świadomość nie paraliżuje?

— Mamy pełną świadomość tego, co zdarzy się w kwietniu. Ambicją moją i całego zespołu urzędników jest sprawna praca do końca. Miasto musi żyć normalnie. Nie można się zniechęcać i wyczekiwać. Ten rok jest bardzo trudny. Staramy się robić wszystko, by urząd dobrze wykonywał swoje funkcje. Nikt z nas nie chce, by następna ekipa (zakładając, że będzie nas oceniać obiektywnie) powiedziała, że rządaliśmy w myśl zasady „po nas choćby potop”.

— To ładnie brzmi, ale urzędnicy są tylko ludźmi.

— Właśnie. Jak wszyscy ludzie, obserwujemy to, co się dzieje w kraju. Dotykają nas te same problemy, z jakimi boryka się każdy obywatel. Są wątpliwości, pytania: co będzie z urzędnikami?

Kierownictwo urzędu zdaje sobie sprawę z tego, co może nastąpić w wyniku wyborów. Nie robimy z tego tragedii. Jednak każde kierownictwo musi mieć sprawny aparat. Nie idzie o alizację naszego zespołu, jednak jestem przekonany, że zdecydowana większość urzędników działa w oparciu o prawo i kieruje się interesem obywateli.

Jestem pewien, że ten, kto ma kwalifikacje, jest kompetentny, na pewno znajdzie swoje miejsce w nowym zarządzie miejskim. Mamy sporo ludzi z dobrym przygotowaniem i dużym doświadczeniem, szczególnie na samodzielnych i kierowniczych stanowiskach.

— Czy z miesiąca na miesiąc można pozbyć się rutyny, wieloletnich nawyków? Nowa ekipa rządowa stawia nowe wymagania.

— Aparat urzędniczy traktuje nową ekipę w sposób normalny i otwarty. Nowe rozwiązania płynące z centrali są prostsze i bardziej przejrzyste dla urzędnika i dla obywatela.

Bieżąca praca komplikuje tempo zmian. Kolejne przepisy nie zawsze na czas trafiają do administracji podstawowej. Staramy się podejmować decyzje według własnego wycucia. Życie płynie, nie możemy czekać.

— Dziękuję za rozmowę.

# PECH

ALINA SUWOROW

Dwa razy próbował uciekać za granicę. Dwa razy bez skutku. Najpierw postanowił wykrozić pociąg towarowy. Z Moskwy do Brześcia przyjechał normalnie, osobowym. W Brześciu zaczął się rozglądać w poszukiwaniu dogodnej sytuacji. No i znalazł wagony z węglem. Ale jego też znaleźli, jeszcze zanim zdążył się w tym węglu zakopać. Wrócił do Moskwy, tym razem jednak już pod nadzorem.

Potem ukradł paszport pewnemu Francuzowi. Zebrał trochę pieniędzy, kupił bilet i wszedł do pociągu. Do granicy było wszystko w porządku, ale tam zorientowano się, że Dima w ogóle nie zna francuskiego. Wizualnie podobny był nawet do tego zdjęcia we francuskim paszporcie. Jednak Francuz, który nie zna ni w ząb swego języka, od razu wzbudził podejrzenie i czujność. Numer nie przeszedł i Dima znów znalazł się w Moskwie. Nie tracił jednak nadziei. Wsio eto jerunda — mówił. W języku rosyjskim jerunda znaczy głupstwo i było ulubionym słowem Dimy. Zająkował się nieco przy tym i słyszało się jerunda.

Przychodził do Instytutu Języka Rosyjskiego dla obcokrajowców, popularnie nazywanego „Puszkinem” i zawiązywał nowe znajomości. Gdy portierka nie chciała wpuścić, wspinał się po balkonach. Kiedyś wszedł w ten sposób na dziesiąte piętro ponieważ drzwi wejściowe na wszystkich pozostałych były zamknięte. Jego plan był prosty: poznać jakąś dziewczynę i zaproponować małżeństwo.

Oczywiście za pieniądze, bo o zakochaniu nie było mowy, a udawać nie potrafił. Interesowały go wyłącznie samochody i... Stany.

Owszem, kiedyś była Czesia — Polka, przy sadzista blondynka. Nazywał ją z rosyjska Czeszką. Czesia jednak, po powrocie na łono ojczyzny szybko o Dimie zapomniała a i on sam niedługo się tym przejmował. Miłość do samochodów i do Stanów Zjednoczonych przyćmiła u niego wszystkie inne miłości. To, co łączyło się ze Stanami było najlepsze.

Pisał w liście: „Poznałem pewną Niemkę, Klaudję. Obiecała, że pomoże mi w wyjeździe. Muszę jednak poczekać jakiś czas, zebrać trochę pieniędzy...”

Nie należał do ludzi, którzy cierpliwie czekają. Wpadł do chłopaków jak burza z piorunami i kazał wyjrzeć przez okno. Piękny czerwony peugeot. — Jedziemy! — krzyknął, i pojechali. Dima prowadził. Za obwodnicą nacisnął ostro na gaz.

— Pędził jak oszalały — opowiadał po jakimś czasie Zeńka — i cieszył się jak dziecko, idiota.

Później była już tylko ucieczka przed milicją. Złapali wszystkich, a Dima wziął całą winę na siebie. Okazało się, że to już trzeci skradziony przez niego samochód. Za każdym razem czerwony peugeot, którego zostawiał gdzieś kawałek w miastem. Mówił, że chodziło tylko o przejażdżkę. Mówił szczerze.

Tym razem Dima trafił aż pod Kalinin do obozu pracy. Skazany na dwa lata wyszedł po

roku za dobre sprawowanie. W trakcie przyjeżdżał do Moskwy po kiełbasę dla urzędników, bo tam w sklepie był tylko makaron i cukier. Poza tym uczył się angielskiego z nieustającą myślą o wyjeździe.

Potrzebne były pieniądze. Dużo i jak najszybciej, a sturublowe, miesięczne wynagrodzenie w pracy, nie rokowało szybkiego wzbogacenia się. Dwa napady na mieszkania prywatne, ale za trzecim razem znów go złapali. Zamiast do pewnej zamożnej staruszki, wszedł do domu milicjanta, którego zastał w niedwuznacznej sytuacji.

Gdy wyjeżdżałam z Moskwy w ubiegłym roku. Dima oczekiwał na rozprawę sądową. Bał się, że pozbawią go moskiewskiego zameldowania, tzw. propiski. Nie sprawiał jednak wrażenia przynębionego.

— Je-je-je-je — mówił. — Wszystko się jakoś ułoży. Muszę wymyślić tylko nowy plan. Najważniejsze, aby wyjechać za granicę, a później, do Stanów jakoś się już dostanę.

— Co będziesz tam robić?

— Kupię samochód. Taki duży, wiesz, mógłby być jakiś stary autobus. Wyremontuję go i ruszę przed siebie po Stanach.

Gdy wyjeżdżałam miał dwadzieścia cztery lata... walkmena i komplet kaset do angielskiego. Szczególnie uzdolniony w przedmiotach ścisłych. Trochę się zająkował. Małe okulary okularki na nosie, dzinsy, czarna wytarta kurtka i niewielka torba parczana na ramieniu. Dima... Moskwićzanin.

AKT 4  
marzec 1989 rok

Naczelnik X występuje do Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu w Y o przekazanie działki z młynem obywatelowi Z. Działka ma mieć charakter rzemieślniczy.

AKT 5  
kwiecień 1989 rok

Naczelnik X zawiadamia Wydział Geodezji, iż częściowo zmienił zdanie. Działka ma mieć charakter budowlany.

AKT 6  
maj 1989 rok

Naczelnik X podejmuje oficjalną decyzję o wytypowaniu do sprzedaży młyna gospodarczego. Widniejąca na kopii decyzji adnotacja o jej publicznym ogłoszeniu na tablicy w Urzędzie nijak się ma do wcześniejszych postanowień.

AKT 7  
lipiec 1989 rok

Kierownik Wydziału Geodezji i Gospodarki Gruntami Urzędu w Y zatwierdza pozytywnie wniosek Naczelnika X. Orzeka, iż małżonkom Z. oddana zostanie w wieczyste użytkowanie działka i sprzedany położony na niej budynek o kubaturze 432 m kw., przeznaczony do adaptacji na cele mieszkalne.

AKT 8  
wrzesień 1989

Małżonkowie Z. kupują młyn wraz z urządzeniami za 1.271.033 złote. Pierwsza wpłata wyniosła ok. 380 tysięcy. Resztę spłacać będą przez 25 lat w ratach kwartalnych po 8.897 złotych.

KURTYNA

KRZYSZTOF BORYS



SZTUKA W 8 AKTACH ŻYCIOWA PROZA

To nie jest donos do prokuratora. Dlatego nie zdradzam miejsca akcji, ani personaliów bohaterów. Niech wystarczy stwierdzenie, iż obywatel Z. nie jest szeregowym obywatelem. Bieg akcji rejestrowały oficjalne dokumenty.

AKT 1  
sierpień 1985 rok

Gminna Spółdzielnia „Samopomoc Chłopska” przekazuje Urzędowi w X młyn gospodarczy. Budynek i wyposażenie (w tym m. innymi: mieszarki, silniki, wentylatory, filtry, podnośniki, wialnia, odsiewacz, gniotownik) wyceniono na 1.366.531 złotych.

AKT 2  
1987 rok

Chęć zakupu młyna deklaruje obywatel N. Urząd odmawia, ponieważ N. nabył już inną działkę z przeznaczeniem na budownictwo mieszkaniowe i rzemiosło.

AKT 3  
styczeń 1989 rok

Chęć zakupu młyna deklaruje obywatel Z., którego żona posiada od dwóch lat inną działkę budowlaną i pozwolenie na budowę. Zainteresowany informuje Urząd, że pragnie uruchomić zakład przetwórstwa zbożowego i komponentów paszowych, akcentuje mocno płynące stąd dla okolicznych rolników korzyści.

## BIEG PRZEZ PŁOTKI

Przez ponad czterdzieści lat upowszechniano w Polsce stalinowski model sportu. Trudno zatem z dnia na dzień wyprostować to, co pokręcono tak skutecznie w minionym okresie. Gdy w Warszawie, zebrał się niedawno sportowy „okrągły stół”, jednym z pierwszych zadań jakie postawiono sobie, było odpolitycznienie kultury fizycznej.

Sport mógł być instrumentem polityki przez kilka pierwszych lat powojennych, kiedy chcieliśmy zmanifestować światu swoją obceność na arenie międzynarodowej. I tak już zostało na długo, nie tylko zresztą u nas. Sukcesy sportowców stały się na przykład wizytówką Niemieckiej Republiki Demokratycznej. Dziś odstawiane są kulisy rekordów i medali. Stoją za nimi dwudziestoletni starcy, którym fachowcy z odpowiednich instytucji zabrali dzieciństwo i zrujnowali zdrowie.

Wymysłem stalinizmu na polskim gruncie jest natomiast sportowice na etacie górniczym, hutniczym, wojskowym czy milicyjnym. Jego kontakt z tzw. macierzystym zakładem pracy sprowadza się do odwiedzenia raz w miesiącu kasy... Przed laty, grając w koszykówkę w szesciejskiej Pogoni, doświadczyłem tego na własnej skórze. Pierwszego dnia miesiąca ustawiałem się grzeecznie w kolejce przed kasą w Polskiej Żegludze Morskiej, kwitując pieniądze za pracę w charakterze „starszego rzemieślnika składowo-manipulacyjnego”. Dalibóg, do dziś nie wiem, co się kryło za tym określeniem. Moim miejscem pracy była bowiem sala sportowa, gdzie rano i wieczorem trenowałem po dwie godziny, bo takie były wymagania sportu wyczynowego.

Nazywało się to ładnie, że Polska Żegluga Morska jest sponsorem sekcji. Jakoś nikt nie wpadł jednak na pomysł, by zlikwidować idiotyczną fikcję. Jeśli bowiem Rada Pracownicza PZM chciała finansowo wspierać koszykarzy, mogła to robić wprost, przekazując pieniądze do klubu. Ten z kolei przeznaczałby je na sportowe stypendia lub dożywianie.

Do tego potrzebne były jednak klarowne przepisy. Na dobrą sprawę nie doczekaliśmy się ich do dziś. I dlatego cierpliwość członków wielu załóg się skończyła. Szczególnie na Śląsku. Zjawisko objęło nie tylko małe kluby, lecz także takich potentatów jak Górnik Zabrze czy Zagłębie Sosnowiec. W kopalni „Kazimierz-Juliusz” postawiono koszykarzy, którzy brali pieniądze za pracę sztygarów w trudnej, delikatnie mówiąc, sytuacji. Ołóż następnego dnia Wardach, Żurawski i spółka zgłosić się mieli na stanowiskach roboczych... Panika w klubie powstała ogromna. Jedynym wyjściem z sytuacji było skorzystanie z przysługujących, w świetle Kodeksu Pracy, urlopów. Te jednak skończą się za kilka tygodni i problem pozostanie aktualny.

To co się dzieje na Śląsku było nieuniknione. W sytuacji, gdy zakłady pracy przechodzą na samodzielność finansową, nikt przy zdrowych zmysłach, nie przystanie na utrzymywanie lewych etatów.

Wiele klubów ogłosiło już upadłość. Tylko dlatego, że nie potrafiło znaleźć się w nowej sytuacji. W Szczecinie na przykład można dziś kupić na licytacji obiekty sportowe należące do byłego klubu Czarni. Będę się, że zjawisko to może się szybko rozszerzać na cały kraj. Potrzebą chwili więc jest stworzenie nowego modelu funkcjonowania i finansowania kultury fizycznej. Nie załatwią problemu półśrodki i „fundusze na przetrwanie”. Tu chodzi o rozwiązania modelowe...

Piątego lutego znów zbiorą się w Warszawie uczestnicy sportowego „okrągłego stołu”. Mam nadzieję, że dojdą do porozumienia, jak ratować polski sport. W tej grze bowiem stawką nie są medale, lecz zdrowie społeczeństwa...

M. WIĘCKOWICZ



Wyróżnienie w otwartym Konkursie na Rysunek Satyryczny pt. „Telewizja” zorganizowanym przez KMPIK w Zielonej Górze.  
RYS. MIHAŁ IGNAT

## Fragment pewnych protokołów

(ze zbiorów Jacka Patałasa — odcinek drugi i ostatni)

(...) w bieżącym roku członków na ogół nie nie zwerbowano komitet sklepowy udziału w tym roku żadnego udziału nie bierze ani w remamentach ani w sklepie przy towaru przyjmowaniu, gdyż, obecna sklepowa jest samodzielna nie potrzebuje żadnej pomocy ze strony komitetu zadawalajaco ostatnio nie przedstawia się, towarów kiedy niekiedy brakuje, pierwszej potrzeby chlepek ostatnio nie cieszy nas przychodzi stary suchy i to ciągle się powtarza, przyczyna za mało towaru w sklepie na pewno jest za mało pomieszczenie sklepu na prawdę już się buduje 25 lat i ani śladu niema że będzie sklep. Komitet sklepowy ma życzenie ażeby na prawdę wziąć się za nasz sklep, bo aż wstyd w takich postępowych czasach taki sklep istniał na wsi...

(fragment pochodzi z protokołu pokontrolnego placówki handlowej — plisownia oryginalna).

## Przypadki Mariusza Fuszera IV

Zanim Sylwecki złapał „Spluwę”, na Mariusza F. spadł kolejny grom. Ktoś w stolicy, na fali odnowy, wymyślił cały „serwis” kontroli. Dyrektor Domu Kultury z pewną nonszalacją wsłuchiwał się w miękki tembr głosu red. Tumanowicza oznajmiającego w DTV, że w suwałskim przymknęto spekulanta, a w kieleckim jakiś dyrektor spółdzielni rozparcelował rodzinie połowę spółkowego arealu. Jemu nie nie groziło: samochód był bezpieczny, nadmetrząż zasiedlony, domek nad jeziorą obstawiony — mogli mu skoczyć. Aż tu nagle,

banalna kontrola Zarządu Głównego... Związku Literatów Polskich. Zapomniał o nich, zanim przyjechali. Szperali obcesowo, nie trzeba było ich nawet ciągać „po godzinach” do „Baru literackiego”. A jednak wyszperali.

Na biurku Fuszera leżał protokół pokontrolny. Wynikało z niego, że dwie trzecie potwierdzonych przez dyrektora spotkań autorskich felietonisty „Głosu Powiatu”, w rzeczywistości nie odbyła się. No pewnie, że się nie odbyła — nie dziwił się Mariusz F. Ale zostały wypłacone honoraria i to już poza limitem Związku. Limity, limity! Kto to rozumie — denerwował się. Komisja ZG ZLP — rozumiała. Felietonistę Kadyrowiczowi groziło usunięcie ze Związku. Fuzzer zbyt cenił autora „Białych diabłów”, żeby do tego dopuścić. Postanowił skontaktować się z Januszem Kadyrowiczem.

Tymczasem Jerzy Sylwecki pokonywał schody prowadzące do budynku Powiatowej Komendy Milicji Obywatelskiej. Dyżurny kapral nie zatrzymywał go przy wejściu. Szedł wprost na drugie piętro, gdzie urzędowali, w trzech poko-

jach, oficerowie Służby Bezpieczeństwa. Sylwecki oficjalnie był etatowym „opowiadaczem”... dowcipów o milicjantach. Porucznik „Spluwa” najchętniej powtarzał, że jest szefem s-b-ków, czyli skurczybyków. A był to pomysł oczywiście Sylweckiego. Ze „Spluwą” widywali się tylko w budynku Komendy. Dlaczego? Było to ich słodką tajemnicą.

Po krótkich, rutynowych czynnościach powitał nych, Sylwecki przystąpił do rzeczy. Wezwanie poinformował telefonicznie o co chodzi.

— Niedobrze — zaszepił się „Spluwa” — Nie na tego Łosia nie mam. W „żłobku” nie był, kraś nie miał czego, samochodu nie ma, ulicami po nocy nie chodzi. Zupelnie nie.

— Może bije żonę? — podsunął Sylwecki.

— E tam. Kawaler...

— Cholera! A te gazetki?

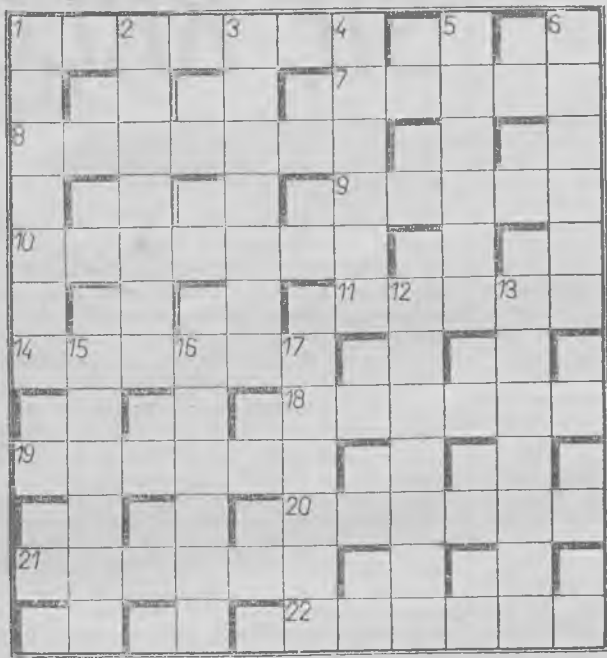
— O! To mógłby być hak. No ale jest instrukcja, żeby tolerować.

— Jak to, tolerować?

— Tolerować znaczy tolerować. Ja nie wnioskam, instrukcja to instrukcja.



# Krzyżówka nr 4



**POZIOMO:** 1) ile czego, 7) z taką długo nie wytrzymasz, 8) ortograficzny wyjątek u drzwi, 9) lepkie tam i z powrotem, 10) stojenna hierarchia, 11) sznureczek do spłukania się, 14) wiązany na macie, 18) przodek bez końca, 19) inny podbijak w parku (anagram), 20) koń na kółkach, 21) mała — krótki żal, 22) swędząca grudka.

**PIONOWO:** 1) pradziadek w kopalni, 2) auto w kredensie, 3) rozrywkowy loch, 4) cicho, ...! płas, 5) tkanina prawie jak modrak, 6) znad morza znajomym, 12) dobry gdy ruch w nim, 13) filozof z koleżanką Oli (na maty), 15) kulka w ruchu, 16) kolorowo w oknie, 17) wana-dwiec, który nie mógł mieć prapradziada.

Rozwiązanie krzyżówki należy nadsyłać pod adresem redakcji do dnia 11 II 1990 r. Na kopercie należy nakleić kupon (numer krzyżówki). Wśród autorów prawidłowych rozwiązań rozlosujemy cenne nagrody.

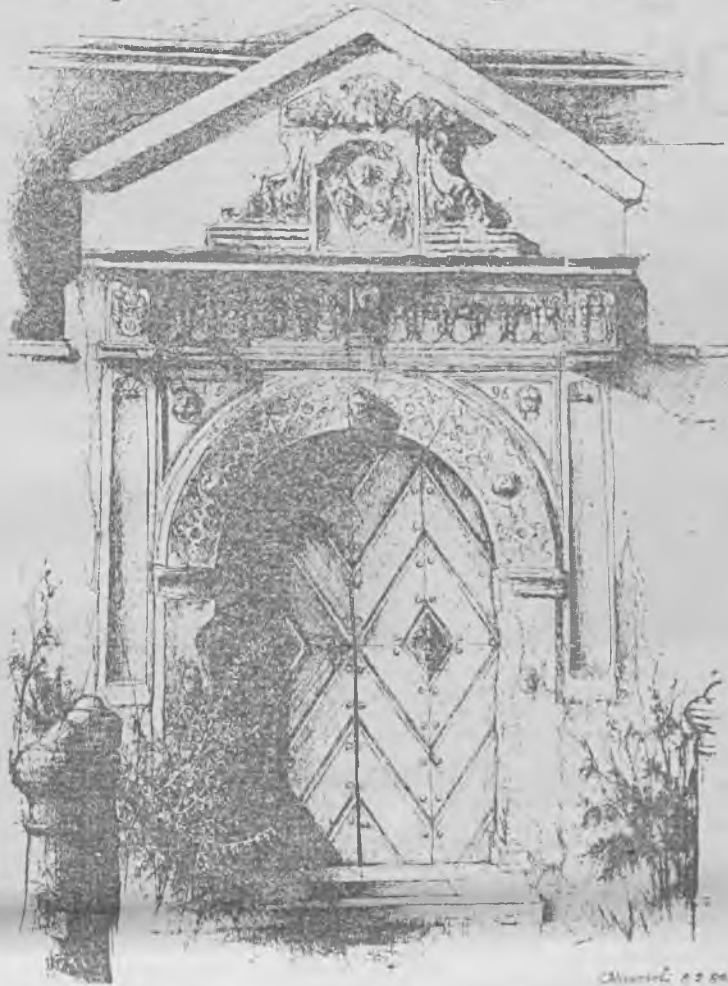
### ROZWIĄZANIE KRZYŻÓWKI Z N-RU 1:

**Poziomo:** parasol, ełita, kopniak, torba, dziecko, rabat, rakieta, arkusz, aparat, ananas, katran.

**Pionowo:** pikador, ropniak, spieście, lektor, mikrob, balast, apelant, Alabama, obrona, iguana, trzask.

Nagrodę wylosował T. WŁODYKA z Zielonej Góry. Nagrodę do odebrania w Redakcji.

# Rysunek — zagadka



Jedyny zielonogórski zabytek z epoki renesansu to kamienny półkolisty portal, wykuty w 1596 roku. W zwieńczeniu zawiera umieszczony w bogatym obramowaniu rzeźbiarskim herb rodziny Stenczów, a do naszego miasta trafił przeniesiony prawdopodobnie z siedziby tej rodziny w Starym Ksielinie.

**Pytanie:** Miejsce usytuowania portalu?  
**Rozwiązanie rysunku — zagadki z nr 1/90**  
**Prawidłowa odpowiedź:** Kościółek NMP zwany Kapliczką na Winnicy  
 Nagrodę wylosował p. Zdzisław Szczepki, Zielona Góra, ul. Gw. Ludowej 67/5. Gratulujemy. Nagrodę można odebrać w Redakcji.

## KRONIKA TOWARZYSKA

Od pewnego czasu możemy się już (przynajmniej niektórzy z nas) dowiedzieć, kto kieruje waleśowską „Solidarnością”. A to za sprawą niezwykle prężnie działającej Samoobrony Narodu. Nniemamy, iż jest to organizacja, ponieważ sposób w jaki „bibuła” trafia do odbiorców, wydaje się być znany. Znakomicie zorganizowany kolportaż, dokładne adresy, wszystko wskazuje na wysoki stopień zorganizowania. Kiedyś manipulowało się „członkami pod płaszczkiem”, dziś płaszczek trochę się sfilcował i z manipulowaniem jakby gorzej. Widać „pod ziemią” się zmienili, ale nauka nie poszła w las. Samoobrona Narodu, to rzecz święta, ale pozostaje pytanie: kto za tym stoi i kto za to płaci?

Plastyków, dziennikarzy aktorów i przedstawicieli innych środowisk kulturalnych podejmował w Czerwieńsku tradycyjnym opłatkiem, ks. Henryk Nowik. Dodała nam otuchy wprowadzie częściowo krytyczna, ale zarażeniem ciepła i aprobująca ocena „Nowej”.

Aktorka scen zielonogórskich Sigrida S. pojawiła się na jednej z imprez w macierzy stym teatrze, ubrana a raczej rozebrana, po europejsku. Nie interpretując tej kreacji, w ku laurach stwierdzono, że tym fioletowym neglitzem lubuska wedetta zdemaskowała wadliwą klimatyzację rodzimego teatru.

Mysleli intensywnie, popijając służbową kawę, ale nie oprócz protokółarnych formuł, nie przychodziło im do głowy. Wreszcie Sylwecki wpadł na pomysł zdemaskowania romansu Łosia z naczelnikową.

— To by było nawet zabawne — skonstratował inteligentnie „Spluwa” — Ale z tego co wiem, złapał ją na wierszyki.

— To Kubajowa umie czytać?! — parsknął Sylwecki.

— Tak czytać, jak ty pisać! — zarzycał „Spluwa”.

Poczynił tym aluzję do wykształcenia Sylweckiego. Nie było tajemnicą „Baru”, że „kupił” sobie maturę. Chciał studiować w miejscowej „Sorbonie”, miał tam nawet „swojego” profesora — jak mawiał Rysiewicz — ale popadł z nim w konflikt. Afera ta godna byłaby opisanie w jakiejś popołudniowej gazecie. W grę wchodziła córka profesora. Zostawmy ten „kłasek” na później.

— A może by tak coś zainscenizować? Odgrozić tego Łosia? — proponował Sylwecki.

— Masz jakiś pomysł?

— Coś mi się kluje.

— Tylko pamiętaj, że mogę wyciskać tylko w 48 godzinach. Dalej to już prokurator, sankcja i te wszystkie niepotrzebne pierdoly — ostrzegł „Spluwa”.

W tym samym czasie Fuszer natknął się w korytarzu Domu Kultury na Łosia. Dyrektor trzymał w ręku ów fatalny protokół. Przecież Łoś powinien wiedzieć coś na ten temat — myślał chytrze.

— Panie magistrze — rzekł konfidencjonalnie, szczypiąc Zbigniewa Marię w łokieć — Czy pan nie organizował spotkań autorskich Kadyrowiczowi?

Łoś chwilę zastanawiał się, jakby czegoś szukał w pamięci.

— Tylko raz, ale niezego nie potwierdzałem — odpowiedział z przekąsem — Natomiast znam problemy z frekwencją na takich spotkaniach, co nie znaczy, że nie są potrzebne, jako osobliwa pomoc socjalna...

— Dość — krzyknął Fuszer.

Doskonale orientował się jak to wszystko wygląda. Ten chłystek nie musi mi wybijać oczu frekwencją! — denerwował się. Kiedyś przy pełnej sali — za co musiał za darmo wydrukować wiersze nauczycielce — w pewnej szkole gminnej, Kadyrowicz mówił o pięknie poezji i literatury w ogóle. Odmieniał słowo „piękno” przez wszystkie przypadki. Przez cały czas wrywał się z pytaniem woźny szkolny. Z pytaniami zaw sze był deficyt, dlatego chętnie przystali na inicjatywę woźnego. Ten wypalił bez wstępów, że Kadyrowicz bez przerwy mówi o pięknie, a sam wygląda jak straszdyło. Fuszer miał inne zdanie o zdradzającej głęboką duchowość fizis felietonisty „Głosu Powiatu”.

Teraz całą złość tego wspomnienia wyladował na Łosiu.

— Nie musicie mi tu ironizować! — krzyknął. Zbigniew Maria Łoś skwitował to uśmiechem. Był to uśmiech człowieka świadomego swojej przewagi intelektualnej.

Cała nadzieja w „Spluwie” — pomyślał Mariusz Fuszer.

# Tajemnice sowieckiego Olimpu

Z DREM TADEUSZEM HUŃCZAKIEM ROZMAWIA ANDRZEJ GAJDA



**RED. ANDRZEJ GAJDA** — 50 lat temu zginął Lew Trocki — najbardziej znany i zaciekle przeciwnik Stalina. W Związku sowieckim nazywano go Judaszem i uważano za bardzo niebezpiecznego...

**DR TADEUSZ HUŃCZAK** — Działalność Trockiego i jego zwolenników (zresztą nielicznych) nie stwarzała realnego zagrożenia dla władzy Stalina. To stalinowscy popagandyści uczynili z trockistów symbol zła, a z Trockiego najzgroźniejszego wroga socjalizmu. Konieczność „rewolucyjnej czujności”, w obliczu działań tak „podstępnych wroga”, umożliwiła Stalinowi, pod przykrywką walki z Trockim, unicestwienie starych kadr bolszewickich. Mówiąc krótko: Trocki — krytyk i wróg stalinizmu najbardziej potrzebny był... samemu Stalinowi!

**A. G.** — Trocki to pseudonim Lwa Dawidowicza „bolszewika nr 2” — jak mówiono o nim w czasie wojny domowej.

**T. H.** — Nazywał się Bronstein, pochodził z bogatej żydowskiej rodziny chłopskiej spod Odessy. Swoje pseudonimy przyjął od nazwiska strażnika aresztu policyjnego w Odessie. Lenin, którego Trocki poznał w 1902 roku, oskarżał go o „nie-bolszewizm” ponieważ ten przeszedł do mienszewików. Dopiero od lata 1917 roku obaj ściśle z sobą współpracowali.

**A. G.** — Co łączyło Trockiego ze Stalinem?

**T. H.** — Chyba tylko to, że obaj urodzili się w 1879 roku. Wszystko inne to przeciwieństwo. Trocki — świetny mówca, potrafiący rozpalić słuchaczy, kulturalny, wykształcony, władający wieloma językami. Stalin — nie umiejący skłębic samodzielnie kilku zdań, grubianin, czytający jedynie literaturę propagandową, poza gruzińskim i rosyjskim nie znający żadnego języka.

**A. G.** — Ale Trocki miał przecież wiele wad — pycha, pozerstwo!

**T. H.** — Aniołem to on nie był na pewno — i jako człowiek i jako polityk. Był przekonany o swojej wyjątkowości. Uważał iż dla wszystkich powinno być to oczywiste dlatego nawet nie zabiegał o poparcie, czy zwolenników, podczas walki o schedę p. Leninie z triumfem Zinowiewa — Kamieniewa — Stalina. Był przecież „bolszewikiem nr 2”!

**A. G.** — O Trockim — komisarzu: spraw zagranicznych, obrony; przywódcy przewrotu państwowego — wiemy sporo. Mniej znane są jego dalsze losy.

**T. H.** — Zaważył na nich nie tylko fakt, iż Trocki był najpoważniejszym konkurentem do władzy, ale także nienawiść Stalina (z okresu wojny domowej). Lew Dawidowicz był wówczas komisarzem obrony i niejednokrotnie besztwał publicznie Stalina za nieumiejętne prowadzenie działań bojowych. Zarzucał Stalinowi samowolę i oskarżał przed Leninem o powodowanie porażek wojennych błędnymi decyzjami. Tego Stalina mu nie zapomniał.

Upadek Trockiego rozpoczął się od pozbawienia go kierownictwa Armii Czerwonej (1925). Potem (1927) usunięto go z partii, zesłano do Alma-Aty, a w 1929 roku wydano go ze Związku

ku sowieckiego. Najpierw Trocki przebywał w Turcji, a od 1933 roku w Norwegii.

**A. G.** — W 1936 w Moskwie rozpoczęła się seria wielkich procesów. Wszystkich „znaczących” bolszewików skazano na śmierć. Tymczasem Trocki znalazł się w Meksyku i prowadził działalność antystalinowską.

**T. H.** — Próbował w styczniu 1937 roku przyjechać na proces Piatakowa, ale władzom sowieckim, zwłaszcza Stalinowi, nie byłoby to na rękę. W rezultacie musiał opuścić Norwegię i skorzystał z zaproszenia malarza Diego Riveri, który podarował mu dom na przedmieściach Meksyku, w Coyoacan. Tu zamieszkał wraz z rodziną. Tu też powstało centrum dyspozycyjne zwolenników trockizmu.

**A. G.** — Trocki był zbyt znaną w świecie postacią, aby można było się go pozbyć stawiając przed sądem i skazując na śmierć, tak jak Zinowiewa, Kamieniewa, czy choćby Bucharina.

**T. H.** — Stalin musiał postąpić z Trockim inaczej. Rozpoczyna się więc „polowanie z nagonką”. Najpierw, w 1936 roku „nieznani sprawcy” kradną w Paryżu część osobistego archiwum Trockiego (85 kg dokumentów!). We wrześniu 1937 roku pod Lozanną znalezione zostaje ciało Ignacego Reissa, agenta NKWD, zwolennika Trockiego, który odmówił powrotu do Związku sowieckiego. Pod koniec tego roku ginie w Hiszpanii Czech Erwin Wolf, osobisty sekretarz Trockiego. W 1938 roku w tajemniczych okolicznościach umiera w paryskim szpitalu syn Trockiego — Lew Sedow.

Niebezpieczeństwo zawisa także nad samym Trockim. Do jego willi przedostaje się zamachowiec podający się za gońca — ładunek wybuchowy porzuca w pobliżu domu.

**A. G.** — Nie można odmówić „nieznanym sprawcom” umiejętności stopniowania napięcia... Rodzina Trockiego podobno co wieczór dziękowała Stalinowi, że podarował im jeszcze jeden dzień życia.

**T. H.** — Rzeczywiście. Sprawcy są naturalnie znani — zamachami na Trockiego kierował pułkownik NKWD Leonid Eitingon (uczestnik wojny domowej w Hiszpanii). Oto jak przygotował następny zamach Grupa meksykańskich uczestników wojny hiszpańskiej na czele z malarzem Davidem Alvaro Siqueiros 24 maja 1940 roku wtargnęła do willi Trockiego, wystrzeliła ponad 300 (!) pocisków w kierunku jego sypialni i obrzuciła dom materiałami zapalającymi... Trocki i jego wnuk wyszli z tego z niegroźnymi zadrapaniami! Eitingon nie dał jednak za wygraną...

Lwa Dawidowicza zaczyna odwiedzać młody trockista, występujący pod nazwiskiem Mornar, podający się za belgijskiego dziennikarza. Prosi o pomoc w przygotowaniu materiałów dotyczących ruchu trockistowskiego akurat w dniu, w którym już wcześniej „wizytę” złożył Trockiemu Siqueiros. Jedenastą razę Mornar odwiedza Lwa Dawidowicza — swojego „mistrza” — ostatni raz 20 sierpnia 1940 roku, kiedy to postanawia wykonać „wyrok”. Uderza go ciekaniem w głowę. Rana jest duża — 7 cm. Trocki nie traci na szczęście przytomności i nie pozwala swoim opiekunom znęcać się nad zamachowcem. Wieczorem następnego dnia umiera. Stalin nie musi się już obawiać nikogo ze starej leninowskiej kompanii.

**A. G.** — Morderca, posługujący się fałszywymi paszportami, został przez sąd meksykański skazany na 20 lat więzienia. Dopiero w 1943 roku poznano jego prawdziwe nazwisko.

**T. H.** — Zamachowiec, uczestnik wojny domowej w Hiszpanii, nazywał się Ramon del Rio Mercader. Hiszpańscy republikanie obciążali winą za porażkę w wojnie z Franco trockistów, NKWD nie miało więc kłopotów ze znalezieniem wśród emigrantów odpowiednich „kandydatów”. Mercader, po odsiedzeniu wyroku, zamieszkał na Kubie, ale widziano go także w Czechostowacji. W Związku sowieckim otrzymał za swój czyn stopień generalski i wysokie odznaczenie. Zmarł w 1978 roku i jak twierdzą niektórzy, do końca był świadom swojej winy — zrozumiał, że był narzędziem w rękach Stalina.

# A JEDNAK... SIĘ KRĘCI

WALDEMAR MYSTKOWSKI

W Polsce Zielona Góra kojarzy się z festiwalem, winobraniami i chyba niezymi wiegami. Za winobranie można zostać zdawkowo poklepanym po plecach i zapytanym: „czy prawdą jest, że alkohol daje za darmo?” Trzeba dość długo prostować tę plotkę o rzekomej filantropii, a i tak molestujący nie zostanie przekonany; znacząco mrugnie okiem.

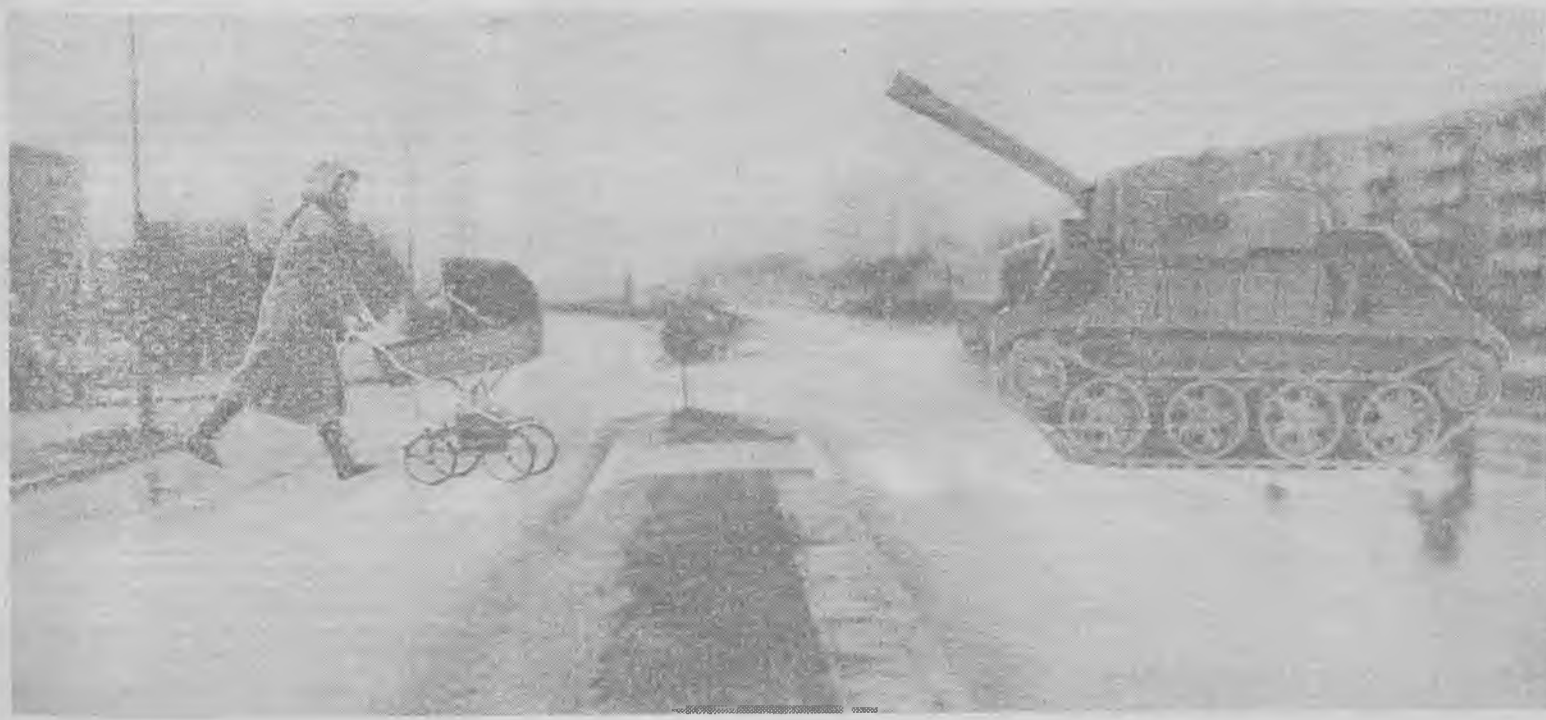
O ile trudniejsza bywa rozmowa, gdy dotycki festiwalu. Zwłaszcza, że przeciwstawić można tylko patriotyzm lokalny, a całe odium scedować na „nich”. Pojawia się wtedy określenie „Czerwona Góra” i dobrze, jeżeli na tym się kończy. Pani minister Cywińska kilka dni po objęciu urzędu, podzieliła się z prasą zamianami na temat festiwalu. Powiedziała między innymi: „Mam pomysł na Zieloną Górę”. Tę nieprecyzyjną wypowiedź odczytać można było różnie, a spekulacje wahały się od likwidacji imprezy, po zachowanie w dotychczas obowiązującej formule. Milczenie wokół festiwalu trwało dość długo i wydawało się, że wobec trudności finansowych w kulturze, impreza się nie odbędzie. A jeżeli, to nie z taką przynajmniej pompą.

I oto 10 stycznia zebrał się Komitet Organizacyjny Festiwalu Piosenki Radzieckiej. Na czele stanął sam wiceminister, Michał Jagiełło. Na tym posiedzeniu podjęto kilka wiążących decyzji, po których już dzisiaj można osądzić kształt przyszłej imprezy. Po pierwsze, za chowania została nazwa festiwalu z fatalnym przymiotnikiem „radzieckiej”. Na terenie kultury, ta część mowy nie jest integralną całością, jest tylko pojęciem niefortunnie przeniesionym ze świata polityki. Po drugie, czas trwania zaplanowanej imprezy, 4 dni, pozwala ocenić koszty. O ile poprzedni festiwal kosztował 130 milionów, to ten, bez zbędnego ryzyka popełnienia błędu, można przemnożyć przez dziesięć i antycypować na przeszło miliard. A sponsorzy, można się spodziewać pozostaną na służbie budżetu państwowego. Po trzecie i następne. Zmniejszenie liczby uczestników festiwalu w bezpośredniej walce o główny laur, a organizatorzy planują ich 15—16, nie gwarantuje z pewnością pożądanego poziomu, niemniej eliminuje ewidentne nieporozumienia. Co w poprzednich imprezach zdarzało się nazbyt często.

Dużą nadzieję budzić jednak mogą tzw. imprezy towarzyszące. O ile poprzednio były one wstydliwie przemilczane, o tyle teraz nie muszą być ukrywane za parawanem oficjalnych koncertów. Jeden z państwowych sponsorów — a myślę o TV i jej szefie — jest wybitnie rusofilski. I to w tym znaczeniu, w którym polityki nie przedkłada się nad dobra duchowe.

Dotychczas zła sława Festiwalu Piosenki Radzieckiej była bezsporna. Ludzie traktowali go tak, jak na to zasługiwał. Po prostu nie uczestniczyli. Publiczność dowodzić trzeba było z Legnicy. Władze zaś miały spokój z budżetem przeznaczonym na kulturę, bowiem cały topiony był w tej niechcianej imprezie. Wystawiano różne pomniczki, a do takich należał poroniona księżka H. Ańskiej „Ludzie i piosenki”. Z braku chętnych do jej nabycia, służyła jako obowiązkowy suvenir. Miejsmy nadzieję, że jak miniona epoka, zalegające egzemplarze poszły na zasłużony przemiat.

# CYWILOM WARA



Tu nawet piwa można się napić dopiero wtedy, gdy dowódca garnizonu wyrazi zgodę na sprzedaż. Kiedyś piwiarnia przez dłuższy czas nie działała. Dowódca niepokojąc się o służbę podwładnych zwlekał z decyzją...  
Dwanaście i pół tysiąca mieszkańców. Cztery hale sportowe, piła w remoncie. Pięć lokali gastronomicznych. Jedno duże kino. Dwa ośrodki kultury, w tym jeden bardzo biedny. Świetnie rozbudowane obiekty służby zdrowia.

Naprawdę takie bogate miasteczko jest w województwie zielonogórskim. Tyle, że trzy z czterech hal sportowych są w rękach MON, a jedna należy do WOP. Dopiero piła, ta w nieustającym od lat remoncie, jest własnością całego społeczeństwa. Dwa lokale gastronomiczne... to kasyna. Duże kino jest wojskowe, choć oczywiście mogą chodzić wszyscy. Do kogo należy ten biedniejszy dom kultury pisać nie muszę „Cieć” w Klubie Garnizonowym najściślej strzeże dostępu do taniej wódki. Byłoby cywil się nie napije! Świetnie rozbudowane zasobne w kadry i aparaturę obiekty służby zdrowia posiadają oczywiście wojsko. Jak wygląda szpital dla miasta lepiej nie pisać. Ciekawe, że obie placówki sasiadują przez płot.

Jeszcze kilkanaście lat temu Krosno Odzańskie było miasteczkiem, w którym każdy w jakiś sposób był z wojskiem związany. Teraz coraz mocniej ujawniają się różnice. Kadra zawodowa wojska i jej rodziny, mają się w powszechnym odczuciu lepiej niż cywile. Każdy mieszkaniec wie o sklepach działających na terenie jednostki MON czy WOP. W tym drugim sklepie często pojawiają się atrakcyjne towary z urzędów celnych. Teraz u cywilów dochodzi silna obawa o pracę i byt. Miasto jest ubogim krewnym, który musi przystać na różnice nie wynikające bynajmniej z prostych zasad: ile pracujesz — tyle masz. Narasta zniecierpliwienie.

W ferwerze ostrych dyskusji zanomina się, że wielu żołnierzy pracowało na „rzecz” mieszkańców. Do poliklinik: dociera różnymi ścieżkami wielu pacjentów z miasta Szkoła Podstawowa nr 3 rozpoczęła sprawnie nowy rok dzięki temu, że wojsko pomogło w przeprowadzce ze starych obiektów. Przykłady pomocy można mnożyć. Nie chodzi jednak o prawienie uprzejmości. Fakt pozostaje: wojsko ma o wiele więcej, tylko dlatego, że jest wojskiem.

Po zapowiedziach zmian złożonych publicznie przez ministra obrony narodowej, w Krośnie rosły nadzieje. Powiększyła je wiadomość o rozformowaniu 11 pułku i Lubuskiej Brygady WOP. Szybko jednak nadzieje ostygły. Dowództwo WOP poinformowało miejscowy Komitet Obywatelski, że nie nastąpiło żadne „rozformowanie” a „reorganizacja” dawnej brygady. Nowy ośrodek szkoleniowy nie tylko nie zamierza oddać miastu ani kawałka ściany, ale sam ma większe niż dotychczas potrzeby i w związku z tym przejmuje budynek po WSW. Także ze strony wojska nie należy oczekiwać żadnych ustępstw.

Z pisma podpisanego przez generała armii Floriana Siwickiego Komitet Obywatelski dowiedział się, że „...po wnikliwej analizie planowanych zmian organizacyjnych jednostek wojskowych stacjonujących w tym garnizonie (...) możliwości resortu obrony narodowej są w tym względzie bardzo ograniczone”. Z dalszej części pisma wynika, że możliwości resortu są żadne. „Po pierwsze, rozformowanie 11 pułku nie jest zmniejszeniem stanu wojska, a dostosowaniem jego struktur do współczesnych wymogów. Wojskowa

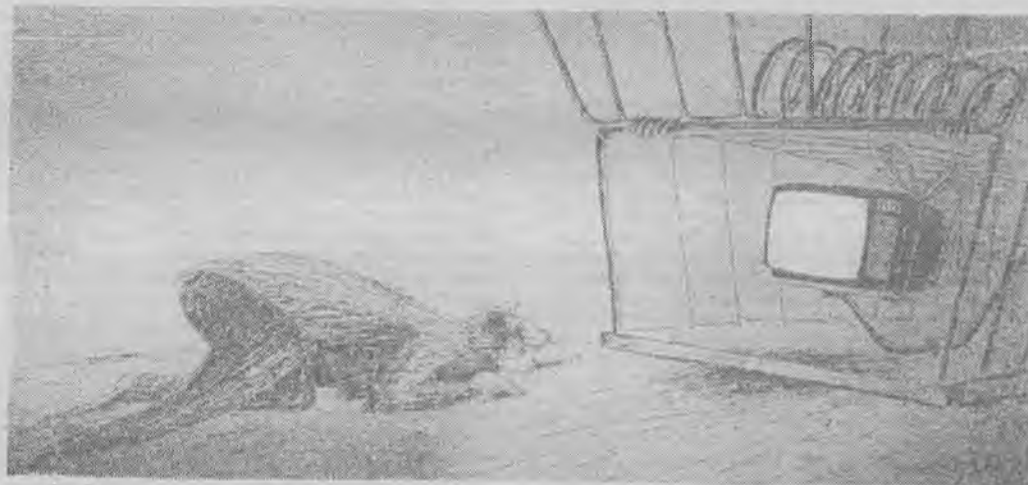
poliklinika jest „integralną częścią jednostki wojskowej” dlatego nie można jej połączyć z sąsiadującym miejskim szpitalem. Trzy sale sportowe „są i nadal będą udostępniane miejscowym szkołom po uprzednim uzgodnieniu z dowódcą garnizonu”. Bitwa zakończona?

Na kroszeńskiej ulicy coraz częściej daje się słyszeć sarkanie z powodu wolnych od lat wojskowych mieszkań. Gdyby nie to, że wojsko też musi jeść, nie trzeba byłoby piekielnie kosztownej rozbudowy mleczarni. Gdyby nie wojsko, nie trzeba byłoby najdroższej w województwie kopalnej wody przepompowywać do górnej części miasta. Gdyby nie wojsko, Odra miałaby mniej nieoczyszczonych ścieków...

Różnica w warunkach bytowania między nimi, którzy związani są z armią, a resztą społeczeństwa rośnie. Pismo ministra Siwickiego jeszcze bardziej zaostrza problem.

Sprawy funkcjonowania wojska w mieście takim jak Krosno powinny stać się przedmiotem swoistej umowy między stroną, która ma prawo do nie gorszego życia i tą drugą, która musi posiadać pewien zakres odrębności, od której wara nam cywilom.

MACIEJ SZAFRAŃSKI



Wyróżnienie w Otwartym Konkursie na Rysunek Satyryczny pt. „Telewizja” zorganizowanym przez KMPIK w Zielonej Górze.

Rys. Eugeniusz D. Grigoriew (ZSRR)

**BOGDAN KUNCEWICZ:** Czy jest Pan czyżniam angażowany w życie społeczno-polityczne? Pańskie role zdają się wskazywać na taką postawę i stąd ciąg dalszy pytania: co sądzi Pan o naszej rzeczywistości?

**BOGUSŁAW LINDA:** — Owszem, dużo zagrałem ról, które zdecydowanie mogłyby mnie klasyfikować jako człowieka czynnie ingerującego w życie społeczno-polityczne Polaków. Chętnie grałem te postacie, ponieważ wydawało mi się, że było zapotrzebowanie na takie filmy i takich bohaterów. Odpowiadając na drugą część pańskiego pytania, uważam, że nasza rzeczywistość jest paranoiczna, bezsensowna, beznauczająca.

**B. K.:** A samo społeczeństwo? Jak Pan siebie w nim odnajduje?

**B. L.:** — Staram się na co dzień nie myśleć, czy mam w nim swoje miejsce, czy też nie, czy się odnajduję, czy też gubię. Co sądzę? To samo pytanie może pan zadać przechodniowi na chodniku, jeżeli nie użyje brzydkich słów, to chwalił Boga.

**B. K.:** Jest Pan uznawany za najbardziej utalentowanego, posiadającego dużą osobowość i charyzmę polskiego aktora młodego pokolenia.

**B. L.:** — Bardzo bym się cieszył, gdybym miał z tego powodu jakieś profity. Nie mam mieszkania, pieniędzy — dosłownie nie — więc mi to mi, że chociaż tak o mnie się sądzi.

**B. K.:** Trzy lata temu mówił Pan tak samo, a przecież nastąpiły radykalne zmiany. Filmy, które „leżakowały”, a w których Pan gra, wreszcie trafiają na ekrany, a Pan odnosi zasłużone sukcesy.

**B. L.:** — I co z tego, skoro moja sytuacja bytowa w ogóle się nie poprawiła, a nawet pogorszyła. Co do filmów, to rzeczywiście był czas, gdy osiemdziesiąt procent „leżakowało”. Między innymi „Przypadek” K. Kieślowskiego, który już na pniu był zakupiony do sześciu krajów i mógłby przynieść dochód taki jak Andrzeja Wajdy „Człowiek z żelaza”, a więc pozwalający na zrealizowanie ok. czterdziestu filmów w Polsce. Niestety, film „leżakował” sześć lat — cóż, widocznie mamy zbyt dużo pieniędzy.

**B. K.:** Jak wygląda u Pana sprawa z teatrem? Czy nadal jest Pan „wolnym strzelcem”. Mówi się, że teatr najbardziej kształtuje osobowość artystyczną aktora?

**B. L.:** — Zgadza się z panem: teatr kształtuje osobowość artystyczną aktora, ale tylko wówczas, gdy poważnie traktuje się ten zawód. Osobiście nie traktuję poważnie aktorstwa, nie mam zamiaru kształtować swojej osobowości jako aktora. O swoim życiu zawodowym myślę w innych kategoriach niż przeciętny aktor polski. Teatr jest fantastycznym miejscem, ale tylko z daleka, kiedy się do niego tęskni i kiedy od czasu do czasu go się odwiedza. Na co dzień jest to małe miejsce, gdzie są zestresowani ludzie goniący za proszkiem do prania... Uważam, że nie ma w Polsce warunków, ażeby cokolwiek uczelnie tworzyć i nie ma też odbiorcy na tyle wyczerpanego, ażeby mógł po pracy wsiąść w „zatruty” tramwaj i dojechać do teatru.

**B. K.:** Czegoś tutaj nie rozumiem. Mówi Pan, że nie traktuje swojego wyboru zawodowego poważnie, będąc przy tym poważnym człowiekiem, który z sukcesem ciągnie ten „wózek z kokosem”.

**B. L.:** — Może siebie nie traktuję poważnie. Ale nie widzę też powodu, ażeby poważnie myślał o niepoważnym zawodzie, tym bardziej w Polsce, gdzie „stawanie na głowie” nie ma racji bytu. Czy można w tym kraju być poważnym i uczciwym człowiekiem, który osiąga cel zamierzony? Tutaj jest wszystko odwrotnie. Nie tak dawno jeden z moich kolegów prosił, ażeby zagrał niewielki epizod w jego filmie. Zorientowałem się potem, że gdybym grał epizodyczne role, zarobiłbym dziesięć razy więcej niż grając główne role — po prostu, taki jest przecenienie. Aktorzy wybitni zarabiają niewielkie pieniądze, za które potrafią ledwie przeżyć miesiąc, być może dlatego, że są ambitni i nie mogą pozwolić sobie na bylejakosć. Natomiast tzw. szerep od epizodów, które nie zawsze dobrze im wychodzą otrzymują dziesięć razy większe wynagrodzenie. Czy to nie jest paranoja?

**B. K.:** Przez pewien czas był Pan związany z warszawskim Teatrem Studio, prowadzonym przez Jerzego Grzegorzewskiego. Jak Panu się tam pracowało?



## Z Bogusławem Lindą

rozmawia

Bogdan Kuncewicz

**B. L.:** — Z Teatrem Studio byłem związany na innych trochę zasadach, niż to zazwyczaj bywa. Z Grzegorzewskim spotkałem się we wrocławskim teatrze, w czasie gdy on przenosił się do Warszawy. Wtedy chciałem odejść na zawsze od teatru — wówczas Współczesnego w Warszawie. Jurek Grzegorzewski zaproponował mi przejście do Teatru Studio, gdzie nie będę musiał wszystkiego, co mi proponują przyjmować, a ponadto będę miał poczucie bezpieczeństwa — tzw. stały etat. Próbowałem to godzić przez dwa i pół roku. Potem doszedłem do wniosku, że udawanie obecnego w teatrze, kiedy mnie nie ma, jest bez sensu — i zerwałem umowę.

**B. K.:** Daje się zauważyć, że artyści coraz częściej dążą do stworzenia sobie izolacji społecznej, swojego własnego „światka”. Czy jest to właściwa droga artystycznej egzystencji?

**B. L.:** — Sądzę, że jest wiele dróg prawidłowej egzystencji, a każdy artysta ma prawo do indywidualnego wyboru twórczego. Przyznam się panu szczerze że zawsze było mi obojętne czy idę drogą prostą czy też krętą. Nie zastanawiałem się też, czy większość moich kolegów myśli tylko o sobie, o otaczającym ich świecie, sprawach polityki, czy też kobietach, z którymi przebywają.

**B. K.:** Nie ma Pan ambicji naprawy „zepsutego świata”?

**B. L.:** — Myślę, że pan trochę przecenia rolę tego biednego aktora, który praktycznie swoją ingerencją w sprawy polityki nie może zrobić. Cóż z tego, że teoretycy uważają każdą twórczość za próbę usiłowania ingerencji i zmiany ludzkiego bytu, skoro od wieków ta teoria nie dała rezultatów.

**B. K.:** Słyszałem anegdotę o tym, jak Pański impresario — Pagart podał błędną informację o filmie, w którym miał Pan zagrać.

**B. L.:** — Pagart jest instytucją państwową, w której pracownicy nie są dogłębnie zainteresowani sprawami swoich podopiecznych. Podano mi w tej firmie błędną informację, że zdjęcia do tego filmu kręconego w danej chwili będą robione za rok. Produkcja tego przedsięwzięcia odbywała się w Australii. Był to serial filmowy, z którym wiązałem bardzo poważne nadzieje.

**B. K.:** Nie sądzi Pan, że większość utrudnień zawodowych, z którymi Pan się na co dzień styka spowodowana jest brakiem własnego agenta lub sekretarki?

**B. L.:** — Nie stać mnie na utrzymanie własnych dzieci, a co dopiero agenta czy sekretarki. Każdy agent by mnie wysmiał, gdybym zaproponował mu 10 proc. honorarium z własnych zarobków, jak to ma miejsce na Zachodzie. Miałem przez pewien czas agentkę w Paryżu, ale niestety nie zrozumieliśmy się. Było to po zdjęciach do filmu „Danton” Andrzeja Wajdy. Kiedy powiedziałem jej, że wracam do kraju spytała, jak się ze mną skontaktować w Polsce. Odpowiedziałem, że nie mam telefonu, nie odważyłem się powiedzieć, że mieszkamia również, gdyż by mnie wysmiała. Poprosiłem ażeby zadzwoniła do mnie do teatru. Ze zdziwieniem odrzekła: „Słuchaj Bogusław, czy ty przypadkiem nie chcesz zbyt dużo zarobić. Zagrałeś w „Dantonie”. Wynagrodzenie powinno wystarczyć na kilka ładnych lat życia, a ty w dodatku jeszcze do teatru się garniesz...”. Cóż, po prostu nie wiedziała, że za „Dantona”, dlatego, że jestem Polakiem, otrzymałem sto dolarów. Było mi wstyd, że zarobiłem mniej niż statyści francuscy, bo wiem pan, u którego wówczas mieszkalem, za dzień statystowania otrzymał 1000 franków.

**B. K.:** Ale mimo to chodzą pogłoski, że bardzo dobrze Panu wiodło się we Francji. Podobno otrzymał Pan bardzo znaczące propozycje filmowe...

**B. L.:** — Tak. Nawet proponowano mi ażeby zostal. Być może zrobiłem duży błąd wracając do kraju, ale proszę mi wierzyć, nie wytrzymałem psychicznie po wprowadzeniu stanu wojennego w Polsce, gdzie były moje dzieci. Wydawało mi się, że będę mógł moim najbliższym bardziej pomóc będąc przy nich, co jest oczywiście bzdurą.

**B. K.:** No dobrze, ale potem wyjechał Pan na Węgry, gdzie również wszystko dobrze się toczyło i też zostało zaprzepaszczone...

**B. L.:** — Węgry mają dość dobrą, lecz niedużą kinematografię, co powoduje, że ciągle szukają nowych twarzy wśród aktorów. Angażują ich do dobrych filmów, a po pewnym czasie ponownie szukają kogoś innego. Tak było też ze mną.

**B. K.:** Jaki w rzeczywistości jest Bogusław Linda?

**B. L.:** — Nie interesuje mnie, jaki jestem w rzeczywistości, nigdy się nie zastanawiam nad tym.

**B. K.:** A gdyby przyszło Panu zagrać siebie samego w filmie?

**B. L.:** — Nigdy nie zagrałbym siebie samego, jest to niemożliwe, ponieważ zawsze bym kłamał. Gdy pan spojrzy w lustro przy goleniu, to będzie się panu wydawać, że w lustrze odbija się pana wygląd, a to nieprawda, bo przecież wygląda pan inaczej. Człowiekowi trudno jest mówić o sobie prawdę, pamiętniki są zawsze kłamliwe.

**B. K.:** Na podstawie tej wypowiedzi wiem jaki jest w rzeczywistości Bogusław Linda. Jest bardzo pesymistycznie nastawiony do życia, nie ufa nawet sobie, bierze życie za abstrakcję...

**B. L.:** — Wydaje mi się, że żyjemy w czasach, w których nie możemy być sobą, brakuje nam nadziei, która często zawodziła. Rodzi się w nas pesymizm i zwątpienie.

**B. K.:** Czy łączy Pan życie prywatne z zawodowym, czy też je oddziela?

**B. L.:** — W profesjach artystycznych życie prywatne wiąże się niemal całkowicie z zawodowym. Nie sposób tego oddzielić.

**B. K.:** A więc jest Pan publiczną własnością?

**B. L.:** — Bardzo szanuję ludzi, którzy chcą ze mną rozmawiać czy mnie oglądać. Lekceważę natomiast dęcie w „polskie gwiazdorstwo”, w to, że ktoś uważa, się za „wielkiego” aktora. Zadając wówczas pytanie: „Gdzie? W jakim kraju?”. Gdybym podjeżdżał Rolls-Roycem na premiery swoich filmów, miałbym fantastycznie ułożone życie, wówczas rozumiałbym, że zawdzięczam coś swojemu zawodowi. Niestety, jestem biednym człowiekiem. Taksówkarze wożący mnie na plan filmowy zarabiają dwukrotnie więcej ode mnie. Mówienie o roli polskiego artysty jest nieporozumieniem. Jeżeli ludzie mnie szanują, to bardzo dobrze, ale nie mówimy o popularności — ten temat mnie drażni.

# Mam już dość...!

MÓWI KRZYSZTOF KĘS – PREZYDENT NOWEJ SOLI

**M**AM już dość niemożności, trudności, nienormalności działania — powiedział K Kęś Jednym z powodów mojej decyzji, był fakt, iż nie chciałem, aby moja osoba była przyczyną politycznej wojny w mieście. W obecnych trudnych i bardzo złożonych warunkach nie można sprawnie i odpowiedzialnie kierować urzędem, skutecznie realizować postanowień MRN. Nikt nie próbował odwieść mnie od składania rezygnacji, to utwierdziło mnie w przekonaniu, że postąpiłem słusznie.

Współpraca z nową siłą polityczną nie układa się dobrze, nie chodzi mi o ewentualne konflikty, takich nie ma. Mamy sporadyczne kontakty z działaczami „Solidarności” i Komitetu Obywatelskiego, podczas posiedzeń komisji problemowych MRN. Pomimo wielu propozycji składanych przeze mnie i przewodniczącego MRN, z ich strony nie widać chęci włączenia się do pracy rady. Jeżeli nasze miejsca mają zająć nowi ludzie to powinni się opowiedzieć jak wygląda praca w urzędzie. Osobiście obawiam się o ich sprawność działania. Być może w nowej sytuacji politycznej nowej władzy będzie łatwiej. Dotychczasowa władza wielokrotnie była blokowana przez różne niezrozumiałe akty prawne, decyzje i zarządzenia. Wiele razy, szczególnie w ostatnich latach naczelnicy i prezydenci postulowali potrzebę wprowadzenia szybkich zmian, bardzo podobnych do tych, które są wprowadzane obecnie. Dopominaliśmy się o większą samodzielność rad i urzędów szczebla podstawowego. Najczęściej był to głos wiodący w puszczy.

Miałem już dość problemów, które powinienem rozwiązywać a z przyczyn niezależnych ode mnie, nie mogłem. W takich chwilach ręce opadały. Może nowi ludzie w nowych warunkach będą pracowali lepiej. Życzę im tego, choć mówię — mam wątpliwości.

Na takim stanowisku potrzebne jest doświadczenie, na razie nikt z nowej siły politycznej nie zadbał o to, aby je zdobyć.

**D**WAJ zastępcy nie poszli w jego ślady. Postanowili wytrwać do nowych wyborów. Oba wiceprezydentom zadaliśmy pytanie — dlaczego nie złożyli rezygnacji? **BOGUSŁAW RADZIO** — Gdybym to pytanie chciał obrócić w żart to odpowiem, że szef mi zabronił. Mówiąc jednak poważnie to traktuję pozostanie na tym stanowisku jako obywatelski obowiązek. Urząd nie może funkcjonować bez kierownika. Trzeba będzie przekazać nowym ludziom obowiązki, wprowadzić ich do urzędu. Szczerze mówiąc zastanawiałem się nad złożeniem rezygnacji, głównie z powodu narastających trudności w codziennej pracy. Urzędowe pisma i dzienniki docierają z dużym opóźnieniem, a obywatele mają później do nas pretensje, mówią o bezwładności władzy, nieudolności. Z konieczności posiłkujemy się rządowym dziennikiem „Rzeczpospolita”, działając w ten sposób niezgodnie z prawem.

**MACIEJ KALUSKI** — Pracuję na stanowisku wiceprezydenta dopiero trzeci miesiąc i to co robię staram się robić poważnie. Zdecydowałem się zostać dla dobra urzędu, zmiana na każdym stanowisku nie może odbywać się na wariackich papierach. Ktoś musi wydawać decyzje. Rezygnacja całej naszej trójki spowodowałaby gwałtowne załamanie i osłabienie urzędu. Postanowiłem zostać nie dlatego, że to ja muszę pracować na tym stanowisku, ale dlatego, że jest taka konieczność. Dodam, że jako członek PZPR czuję się przegrany dlatego, że partii nie udało się zrealizować tego co zamierzała.

L. TY

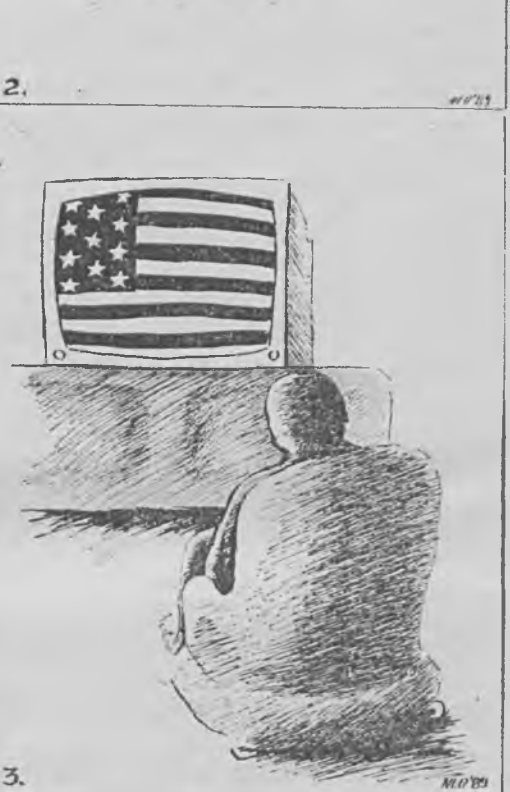
## DO CZYTANIA W PRACY

W każdym szanującym się biurze, jest szufiada w której oprócz niezliczonej ilości druków, obowiązkowej puszkii z herbatą oraz cukrem, powinna znajdować się ta właśnie powieść. Wyjaśniam dlaczego; nie przeszkadza w samej pracy ale stanowi relaks pozwalający zapomnieć o niezbyt wesołej rzeczywistości zza okna, przenosi w świat kresów, opowiada anegdotki, zaś bohaterem jej mógłby być każdy z członków rodziny. Jeżeli pamiętamy dziadka Włodzimierza czy wujka Stanisława to odkryjemy cechy wspólne z naszym bohaterem. W razie wpadki w biurze radzę podarować zwierzchnikowi, zapewni to nam jego życzliwość na długie lata. **Michał K. Pawlikowski „Wojna i sezon” wyd. Pomost cena 5000 zł.**

## DO CZYTANIA W DOMU

Człowiek jest z zasady, natury ciekawskiej. To właśnie stało się jednym z czynników powodujących rozwój naszej cywilizacji. Chęć odkrycia, zbadania, jest jedną z podnień życia, która nawet w największym kryzysie nie zanika. Dlatego też odkryliśmy nowe kontynenty, wymyśliłyśmy wynalazki, kombinujemy w życiu codziennym od pierwszego do pierwszego. Intryguje nas przyszłość ale równocześnie jesteśmy ogromnie ciekawi jak wyglądała przeszłość. Wcale się nie dziwię, że książki z takiej dziedziny, jaką jest historia, cieszą się taką popularnością. I pragnę polecić pewną serię, która jest bardzo dobra dla historyków, ludzi traktujących historię jako hobby czy miłośników czytadeł. Każdy w niej znajduje coś dla siebie. A może najważniejsze, że białe plamy przestają być białe, a suche fakty okazują się soczystym owocem, zaczyna się lubić własną historię i cenić. Polecam do czytania, kiedy cała rodzina śpi, może być szklanka herbaty i kilka palaczy dobrego papierosa. **Zeszyty Historyczne Paryskiej Kultury wyd. krajowe „Pomost”. Cena: im starszy rocznik tym droższy.**

ROBERT GROMADZKI



II nagroda w Otwartym Konkursie na Ryzyk Satyryczny zorganizowany przez KWIPIK.

Rys. Natalia i Oleg Lukianienko (ZSRR)



Punkt sprzedaży: Zielona Góra, Grottegera 7  
telefon 713-80

## DO CZYTANIA WSZĘDZIE

Imię i nazwisko to fikcja. Dlaczego? Agencja KGB dałaby dużo, aby teczka z jego prawdziwym danymi spłonęła w krematorium. Sędziowie z Kolegium Wojskowego Sądu Najwyższego ZSRR, patrząc na mury Kremla, wpisaliby adnotację na dokumentacji „wyrok wykonano”. Tak jednak nie jest. Każdy dzień życia bohatera i autora książki „Akwarium” jest jego zwycięstwem w walce z mocarstwem. Ten był oficer wojsk pancernych, człowiekiem spec-nazu i wywiadu wojskowego, zdradca najintymniejsze tajemnice, oraz mechanizmy działania o których nawet „filozofom się nie śniło”. Myślę, że klasyk tej literatury jakim jest John Le Carre, uchylił rondo kapelusza, jeżeli kiedykolwiek spotka autora. Książkę czyta się wszędzie w autobusie, na przystanku, kolejce, (nie radzę w pracy) ale trzeba uważać, gdyż może podejść dwóch szarych ludzi wziąć delikatnie pod rękę i wsadzić do jednego z wielu „anonimowych samochodów” jakie jeżdżą po mieście.

**Wiktor Suworow „Akwarium” wyd. IWA. Cena prawdopodobnie 12000 zł.**

## kącik biznesmena

### ODEJŚCIE WSPÓLNIKA ZE SPÓŁKI Z OGRANICZONĄ ODPOWIEDZIALNOŚCIĄ

Zacząć należy od tego, że wspólnik spółki z o.o. jest w tej spółce niejako „więziony”, oznacza to, iż wspólnik chce się uwolnić od uczestnictwa w spółce nie ma możliwości wypowiedzenia swoich udziałów. Wszelkie postanowienia umowy przyznające prawo wypowiedzenia udziałów są nieważne, bez względu na to czy uprawnienie takie byłoby przyznane poszczególnemu wspólnikowi czy też grupie wspólników.

Oczywiście nie znaczy to wcale, iż podjęcie decyzji o przystąpieniu do spółki z o.o. zmusza osobę fizyczną lub prawną do uczestnictwa w tej spółce przez cały czas jej trwania. Od uczestnictwa w spółce z o.o. uwolnić się można w sposób następujący:

1. Formą najprostszą jest sprzedaż wszystkich posiadanych w spółce udziałów. Pamiętać jednak należy o tym, że kodeks handlowy stwarza możliwość ograniczenia zbycia lub zastawienia udziałów (art. 181 kh). Spółki najczęściej z tej możliwości korzystają i w umowach zawieranych są postanowienia w myśl których zarząd spółki zgromadzenie wspólników lub rada nadzorcza są upoważnione do wyrażania zgody na zbycie lub zastawienie udziałów. Czasami wspólnicy uzgadniają że tego rodzaju zgodę wydawać będzie spółka. Zapis taki bywa błędnie interpretowany, iż słowo „spółka” oznaczać ma zgromadzenie wspólników. Tymczasem przepis § 3 art. 181 kh nakazuje wówczas uzyskiwać zgodę zarządu. Zgoda na zbycie lub zastawienie udziałów a także umowy w tych sprawach, pod rygorem nieważności wymagają zachowania formy pisemnej.

Wynika z powyższego, że wspólnik ma ograniczoną możliwość rozporządzenia swoimi udziałami. Dotyczy to szczególnie tych wspólników spółki z o.o. którzy mając małą ilość udziałów nie mają przez to wpływu na decyzje organów spółki od woli których zależy zgoda na zbycie udziałów.

2. Innym sposobem odejścia ze spółki, ale bardziej skomplikowanym, jest umorzenie udziału lub udziałów. Umorzenie możliwe jest tylko wówczas kiedy umowa spółki to przewiduje (art. 193 kh). Samemu zaś umorzenia nie dokonuje się tylko poprzez obniżenie kapitału zakładowego albo z czystego zysku. Omówienie obu sposobów umorzenia udziałów zajęłoby zbyt wiele miejsca więc zajmę się tym kiedy indziej. Teraz ograniczę się tylko do informacji najważniejszych. Otóż umorzenie udziału lub udziałów jest jednoznaczne z ich unicestwieniem. Udziały po prostu przestają istnieć ponieważ wspólnikowi lub wspólnikom których udziały zostały umorzone, dokonuje się zwrotu części kapitału zakładowego w wysokości odpowiadającej umorzonym udziałom. Umorzenie, zwane również amortyzacją, może dotyczyć udziałów jednego wspólnika (to interesuje nas najbardziej ze względu na powstającą wówczas możliwość odejścia ze spółki) udziałów kilku wspólników lub też niektórych tylko udziałów posiadanych przez jednego wspólnika. Rodzi się tutaj pytanie czy można wykorzystać instytucję umorzenia udziałów do pozbycia się wspólnika wbrew jego woli? Nie jest to możliwe ponieważ przymusowe umorzenie udziałów może być dokonane tylko za zgodą wszystkich wspólników.

Tak więc wspólnik zainteresowany odejściem ze spółki winien wnioskować o podjęcie uchwały w przedmiocie umorzenia jego udziałów. I tutaj, podobnie jak w przypadku sprzedaży udziałów w spółce, który nie ma możliwości wpływu na treść uchwał organów spółki nie może zdecydować swobodnie o swoim odejściu.

Zatem, użyte na wstępie sformułowanie iż wspólnik jest „więziony” w spółce z ograniczoną odpowiedzialnością wydaje się być całkowicie zasadne.

ANDRZEJ RYCHLIK

## BAZAR

## BAZAR

Tytuł „Nie warto być swinią”, wybity grubą czełką na pierwszej stronie jednej z codziennych gazet, wzbudził szeroki rezonans wśród społeczności świńskiej. W chlewach i chlewikach zawrzało. Zrazu dochodziły z tamąd nieśmiałe pomruki, potem — nerwowe pochrząkiwania, wreszcie podniósł się jeden wielki, przeraźliwy kwik protestu. Przynajmniej, że i my wstydliwie odwróciliśmy wzrok, gdy pewna, niemłoda już, a zasłużona swinia, ze łzami w oczach pytała nas „Dlaczego?”

Jej humor poprawił się, gdy przeczytała o zapowiadanych na ten tydzień inwentaryzacyjnym skupie żywca. A fakt, że zajmie się nim — uwaga — Tymczasowa Rada do spraw Agencji Rynku Rolnego (!) szczególnie wzruszył naszą swinkę. W małych świńskich oczkach pojawiły się łzy, tym razem łzy szczęścia. Rozmarzyła się „Już nie będą nas skupować podczas, za przeproszeniem, spędu. Zapraszamy na posiedzenie rady, czy tam agencji, przywitają, siadajcie swinie, może herbatki...”. Tak, muszą się z nami liczyć — dodała już poważnym tonem.

Klienci sklepów mięsno-wędliniarskich też liczą. Pieniądże. Ubiegły tydzień przyniósł małą rewolucję cenową. Gdybyśmy byli złośliwi, napisalibyśmy, że zielenina potaniała. Ale tak nie napiszemy. Zdecydowanie ładniej brzmi „producenci wyrobów mięsno-wędliniarskich, mając na względzie dobro społeczeństwa obniżyli ceny”.

Pod naszą bazarową lupą są trzy sklepy w Zielonej Górze. Każdy otrzymuje towar od innego dostawcy. „Żubr” — z kombinatu w Przylepie, sklep przy ul. Drzewnej — z PGR Stare Strącze, a najmłodszy w tym towarzystwie, sklep pana Marka Pobicha zaopatrywany jest przez dostawców ze Sławy, m.in. tańszą GS

Jeszcze niedawno, w pierwszym z wymienionych sklepów schab kosztował 29200 zł, w drugim — 24030, a trzecim — 26000 zł. Dzisiaj, w poniedziałek, ceny są następujące — odpowiednio 23750 zł, 21630 zł i 21300. Karłowkę z Przylepu można było kupić za 26850 zł, a na Drzewnej za 21100. Dziś płacimy za nią w „Żubrze” 21750, w placówce zaopatrywanej przez PGR — 19 tysięcy, a przy ul. Jedności Robotniczej — 20400 złotych. Kielbasę śląską przy ul. Drzewnej kupujemy teraz za 19120 zł, podczas gdy Przylep żąda 22250 zł. Serdelki, sklep M. Pabicha sprzedaje za 10300 zł, przy ul. Drzewnej kosztują 12160, a z kombinatu 17100 złotych. Podobnych przykładów moglibyśmy podać tu więcej, nie to jest jednak najważniejsze. Widać wyraźnie gdzie mięso i wędliny można kupić taniej, który producent skalkulował ceny najkorzystniej dla coraz cięszego portfela klienta. Prosimy czytelników o przykłady, nie tylko z branży mięsnej, z całego województwa. Gdzie można kupić taniej? ..

W minioną sobotę „Bazar” z wizytą przyjaźni udał się do Szprotawy. Cel — wymiana doświadczeń. Sobota była wolna, więc większości sklepów nie udało nam się od-

wiedzić. Zapisaliśmy jednak w notesie kilka szprotawskich cen. Cukier — 6300 zł, chleb baltonowski — 2650 zł, masło chłodnicze — 2775 zł, ziemniaki — 500 zł. Oczywiście nie namawiamy nikogo, by po zakupy jeździł pięćdziesiąt kilometrów, warto jednak będąc okazjnie w innym mieście zajrzeć do kilku placówek i porównać ceny. Cena cukru na przykład zdecydowanie wypada na korzyść byłego powiatu (w większości sklepów Zielonej Góry płacimy zań 7500 zł). A jak jest w Kargowej, Gubinie czy Babimoście? Prosimy o sygnały, a sami raz w tygodniu odwiedzimy sklepy i punkty usługowe w różnych miastach.

W Zielonej Górze tymczasem coraz większym powodzeniem cieszy się tak zwana sprzedaż „z wozu”. Ta mało znana wcześniej forma handlu może zrewolucjonizować domem Merkurego i to szybko. Potrzebny jest bowiem tylko „wóz”, np. „Star”, „Żuk”, czy „Nysa”, towar i kierowca — sprzedawca. W centrum miasta widzieliśmy już sprzedaż masła, owoców południowych, „krówek”, butów, rajstop, odzieży, a nawet... kolder. Wszystkie, oczywiście „z wozu”.

Jeśli ktoś z czytelników dowie się kiedy i gdzie sprzedawana będzie „baba z wozu”, prosimy o wiadomość. JACEK PATAŁAS

## Miss i Smolen

3 lutego o godzinie 18.00 w Hali Ludowej w Zielonej Górze odbędzie się koncert, na którym zostanie wybrana tegoroczna MISS ZIEMI LUBUSKIEJ.

Koncert organizuje Estrada Ziemi Lubuskiej w Zielonej Górze i Biuro Miss Polonia MISS-LAND w Warszawie. Spośród 8 finalistek eliminacji z terenu województwa gorzowskiego i zielonogórskiego wyłoniona zostanie jedna, lub więcej dziewcząt, które już w niedzielę 4 lutego w Warszawie wezmą udział w eliminacjach ogólnopolskich.

Zielonogórską imprezę sponsorują: DT CENTRUM, Spółka POLAREKS, Biuro Turystyki Młodzieżowej JUVENTUR, Przedsiębiorstwo Zagraniczne APINA, Zakład Ubezpieczeń WESTA i Młodzieżowa Spółdzielnia Pracy ARKA.

W koncercie wystąpi BOHDAN SMOLEŃ oraz kabaret POD SPODEM, a także grupa wokalna SPECTRUM. Konferansjerami będą dziennikarze Zielonogórskiej Rozgłośni Polskiego Radia Eugeniusz Banachowicz i Ryszard Malitowski.

W czasie koncertu publiczność wybierze również swoją kandydatkę na MISS. Finalistki wystąpią jako modelki prezentujące odzież produkowaną przez Spółkę POLAREKS oraz stroje wizerunkowe DT CENTRUM.

Wszelkie dodatkowe informacje można uzyskać pod numerem tel. 223-31. Bilety można nabywać w biurach Estrady, Gromady, Lubtouru i Juventuru w cenie 15.000 i 10.000 zł.

Zamówienia zbiorowe z terenu całego województwa przyjmuje Estrada (k. 43 21 64, Zielona Góra, ul. Wrocławska 20, tel. 723-73, 723-74.

# LISTY

List do Gazety Lubuskiej niepublikowany przez redakcję

Zdumiewa mnie obłuda zademonstrowana (nr 18 dnia 22.01 str. 5) przez mgr Kazimierza Jakubowskiego w liście do redakcji „GL”, w którym dziękuje za prezentację grafik Zbigniewa Jaworskiego. Rzecz w tym, że Pan mgr inż. arch. Zb. Jaworski od lat znany władzom miasta jako „zielonogórski rysownik kronikarz” od ponad roku usilnie stara się o możliwość otworzenia galerii i punktu sprzedaży swoich albumów i pojedynczych urokliwych rysunków mogących być wspaniałą pamiątką regionalną, przy braku takich na tzw. rynku.

Pozytywną opinię w tym przedmiocie wyrażałem (na dokumentach p. Jaworskiego) jako działacz starówkowego samorządu mieszkańców. I to właśnie władze miasta, nadzorujące rozwój butików w bramach i podcieniach nie potrafią, czy nie chcą wzbogacić miasta o placówkę bardziej kulturalną niż handlową i odrzucają kolejne propozycje lokalizacyjne przedstawiane przez inż. Zbigniewa Jaworskiego. O, gdyby Prezydent mgr Stanisław Ostrega mógł na chwilę ustąpić przy biurku Prezydenta miasta. Pan Kazimierz Jakubowski gdyby miał odrobinę poczucia wstydu i odpowiedzialności za pełniony urząd wiceprezydenta, to wstrzymałby się od tego listu noszącego znamiona złośliwego naigrywania się z bezsilności wobec administracji obywatela chcącego swój talent dać miastu. Warto tu przypomnieć, że do zakresu czynności mgr Jakubowskiego należy „rozwój” kultury, a jednocześnie nadzór nad handlem ułatwia mu wysłuchanie zaniedbanego sklepiku, który oddany w pracownitę ręce mgr. Zbigniewa Jaworskiego stałby się perlejką ozdabiającą urokliwą zielonogórską starówkę.

Wiceprzewodniczący  
Kom. Osiedl. NR 3 STARÓWKA  
Zdzisław Piotrowski

## PARTNERVERMITTLUNG WIR

Rep. Fed. Niemiec

HALSZKA  
Skr. poczt. 12  
68-200 Żary

## KOJARZĄ MAŁŻEŃSTWA

Polecamy ciekawe oferty dla Pań i Panów. Służymy pomocą fachowo, solidnie, subtelnie, dyskretnie.

Zapraszamy!

## OGŁOSZENIA drobne

WSK 125, FUSILADE — sprzedam tel. 655-43 Z. Góra

Futro karakulowe, wiązania narciarskie oraz buty roz. 41 — sprzedam. Nowa Sól tel. 23-36

Nową lodówkę Snieżynka tanio sprzedam. Zielona Góra ul. M. C. Skłodowskiej 9/46

Telewizor Rubin 707 — sprzedam. Nowa Sól tel. 77-713

Działkę budowlaną — sprzedam. Jędrzychów III tel. 626-63 po 16.00

Rejon Przewozów Kolejowych w Zielonej Górze wydzierżawi lub sprzeda suwnicę bramową SB-82 PD Nr 384 udźwig 8 ton. Zgłoszenia na tel. 710-41 wew. 521

Akordeon, organy — udzielam lekcji. Zielona Góra, tel. 646-01.

# Co się opłaca?

(Na zapleczu sklepu spożywczego „Siódemka” z MARKIEM PLASZKE — kupcem — rozmawia KONRAD STANGLEWICZ).

M.P. — Na cytrusy nie ma koniunktury. Ze sklepami skutecznie konkurują uliczni handlarze; ci nie płacą podatków. Jeśli już importować, to bezwzględnie towar lepszy.

K.S. — Ale lepszy oznacza droższy.

M.P. — Niezupełnie. Np. lepiej kupić dobrej jakości, ładnie opakowaną czekoladę z Zachodu. Byle jaki czekoladopodobny ersatz z NRD jest niemal tak samo drogi. A w do datku przy zakupach na Zachodzie dają na granicy 7 proc. upustu. Z tym, że w mojej branży sprzedaje się obecnie głównie podsta wowe artykuły: chleb, masło, tłuszcze roślinne, cukier...

K.S. — Podobno właśnie cukier opłaca się importować.

M.P. — Jeżeli ktoś kooperuje tylko z PHS, to na pewno. Oni, by utrzymać się, narzucają prawie takie same marże jak handel. Owszem, ich koszty też podskoczyły, ale bez przesady! Ja biorę cukier od prywatnego hurtownika z Wolsztyna, o 1000 zł taniej.

K.S. — A masło, mąka?

M.P. — Mleczarnia podyktowała takie ceny, że opłacało mi się jeździć w leszczyńskie po masło. Mąkę kupuję u producenta w PZZ-ach i mam o 500-700 zł taniej, w zależności od gatunku. Gdyby było więcej młynów prywatnych, to i PZZ-ty miałyby konkurencję i mąka byłaby tańsza.

K.S. — Co bierze Pan z PHS?

M.P. — Tylko takie towary na które ma ja monopol: ryż, herbatę. Ale niech pan się ciska, jak oni handlują: przychodzi ich akwizytor, oferuje towar. Pytam o cenę — może taka, może inna. Pytam o opakowanie — nie wie. Czy herbatniki są w polewie, czy bez — wzrusza ramionami. To ma być handel! Tracą w ten sposób klienta i miliony. Co im najlepiej wychodzi, to pilnowanie by faktura była zapłacona jeszcze zanim dostarczą towar.

K.S. — Pan tu narzeka, a wiadomo, że klimat dla prywatnej inicjatywy jest lepszy. Zaczynał Pan od małego sklepiku przed ośmiu laty, a teraz proszę — duży sklep w samym Rynku!

M.P. — W sklepach ciągle za dużo jest sprawozdawczości. Wziąłem w ajencję sklep od PSS, wykupiłem cały towar, jestem na

własnym rozrachunku i właściwie żadnych kontaktów z tą firmą nie mam.

K.S. — Za wyjątkiem odpłatności.

M.P. — A tak. Wiem, że placąc FSS niespełna sześć milionów miesięcznie utrzymuję administrację, kadry...

K.S. — Ale nie rezygnuje Pan.

M.P. — Przeciwnie, rozwijam się: mam dwa sklepy ajencyjne, wydzierżawiłem pawilon w Czerwieńsku i konkuruję z GS-em. Teraz kupiłem w Zielonej Górze kiosk przy ul. Długiej. Poprzedni właściciel handlował towarami pochodzenia zagranicznego i spłaj tował. Byłby już dawno uruchomił ten punkt, gdyby nie problemy z Urzędem Miejskim. Czekam już trzeci tydzień na decyzję w sprawie zmienionej stawki czynszu dzierżawnego za teren. Czas mija, ja się wściekam, bo towar czeka, stoją urządzenia — tracę pieniądze. Nie rozumiem dlaczego takich spraw nie można załatwić od ręki. Miasto przecież też traci nie mając ode mnie podatku.

K.S. — Gdzie uderzy Pan teraz?

M.P. — Wybieram się do Krosna. Tam oferują sklepy wiejskie. Myślę, że mógłbym wziąć pięć lub sześć takich sklepów.

K.S. — Co poza biurokracją kładzie handel?

M.P. — Łapczywość, zachłanność. Tu, w „siódemce” pracujemy w wolne soboty i nie dziele. Personel pracuje chętnie za dodatkiem wynagrodzenia. A ja zrezygnowałem z 20 proc. dodatku do ceny, przysługującego za handel w niedzielę. To niepotrzebny drenaż. Człowiek nie kupi cukru w niedzielę, bo po co ma płacić więcej, poczeka do poniedziałku. Więc zrezygnowałem z narzutu i dzięki temu mam więcej klientów.

K.S. — Z Pana sklepu wychodzą ludzie z „Gazetą Nową”?

M.P. — Każdy, kto kupuje u mnie za ponad dwadzieścia tysięcy otrzymuje „Gazetę Nową” gratis. To mnie i Wam się opłaca!

OD REDAKCJI: A więc SZANOWNI KUPCY, HANDLOWCY — rozważcie czy i WAM nie opłaca się zastosowanie pomysłu p. Marka Plaszkę. Z „Gazetą Nową” zyskacie klientów!

## KOMUNIKATY KOMITETU OBYWATELSKIEGO „SOLIDARNOŚĆ”

Komitet Obywatelski „Solidarność” w Zielonej Górze zaprasza przedstawicieli mieszkańców wsi: Barcikowice, Drzonków, Jany, Jarogniewice, Jeleniów, Kielpin, Krępa, Łężycza, Ługowo, Nowy Kisielin, Ochla, Przylep, Racula, Stary Kisielin, Sucha, Zatonie, Zawada na spotkanie organizacyjne w celu powołania Komitetu Obywatelskiego gminy Zielona Góra w

dniu 3 lutego br o godz. 10.00 w sali „Skrzyba” Urzędu Wojewódzkiego.

Powołany Komitet Obywatelski zajmie się wyborami do samorządu Gminy Zielona Góra.

Komitet Obywatelski „Solidarność” w Zielonej Górze informuje o zmianie adresu. Siedzibą Komitetu jest obecnie p. 136 w budynku Urzędu Wojewódzkiego (65-954 Zielona Góra, ul. KRN 6, tel. 31-71 i 42-11 wew. 226). Członkowie Prezydium pełnią dyżury w poniedziałki, środy i piątki w godz. 9.00—13.00.

## USC

Zawarłeś związek małżeński?

Urodziło Ci się dziecko?

Chcesz, żeby świat się o tym dowiedział? Zrobi to za Ciebie „Gazeta Nowa” bezpłatnie. Przyjdź do nas z kuponem

## OGŁASZAJ SIĘ i REKLAMUJ

## W GAZETĘ NOWĄ!

— ogłoszenia drobne bezpłatnie!

— ceny reklam — konkurencyjne

